DGP
Dziennik Gazeta Prawna

# Magazyn na Weekend

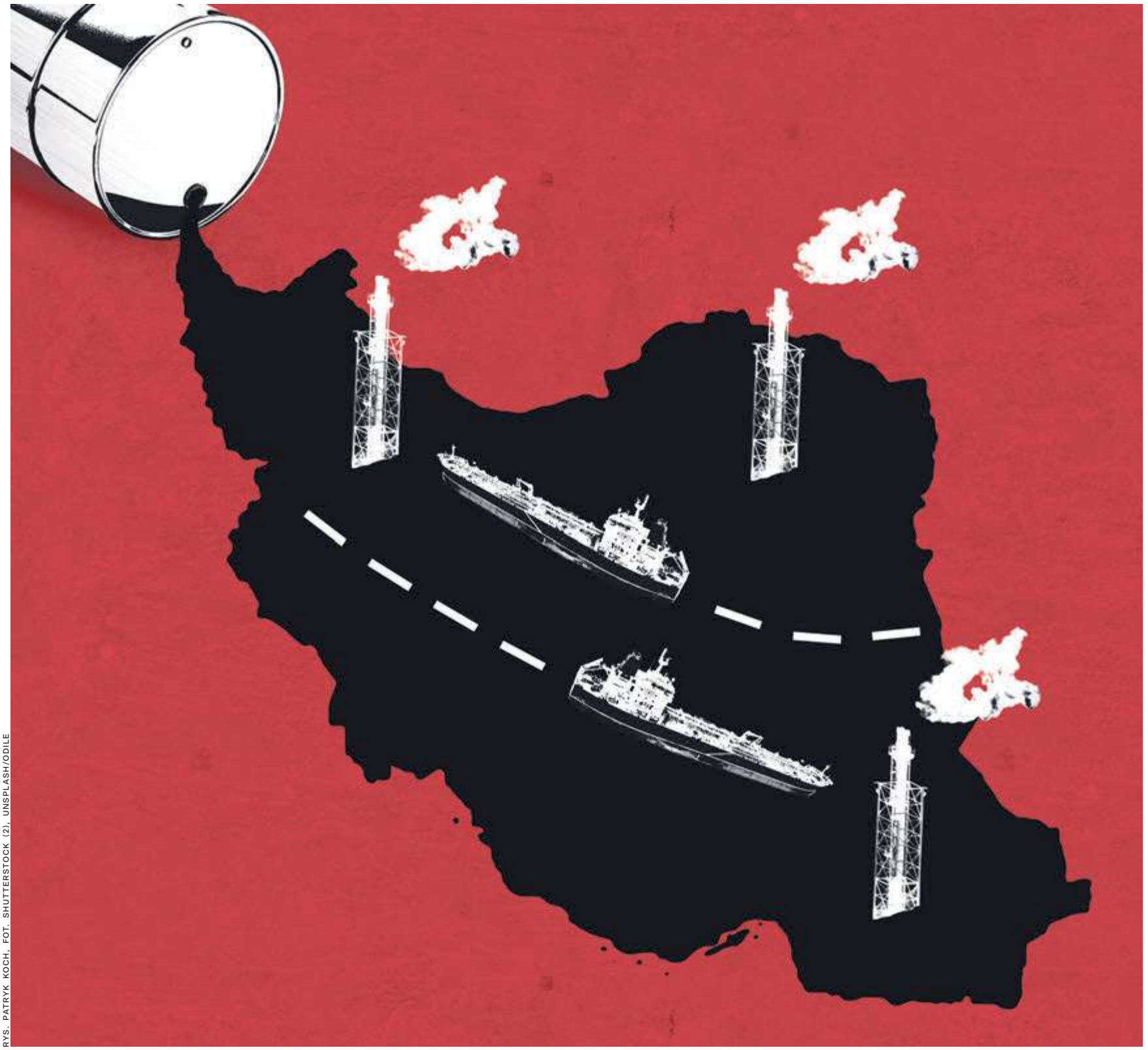

RYS. PATRYK KOCH, FOT. SHUTTERSTOCK (2), UNSPLASH/ODILE

*Świat* / M**3**

## Nowa wojna o ogień

*Wojna w Iranie i blokada cieśniny Ormuz są zarówno łabędzim śpiewem odchodzącego świata, jak i hejnałem nowej epoki*

analiza Piotra Wójcika

*Ameryka* / M**7**

## Diabelskie złoto

*Czy USA chodzi tylko o ropę? Wyjaśnianie konfliktów między państwami walką o zasoby jest często nadmiernym uproszczeniem*

tłumaczy Sebastian Stodolak

*Iran* / M**14**

## Przyjaciele na froncie

*Operacja w Iranie wywołuje napięcia między USA a Izraelem. Sojusznicy nie zgadzają się co do celów i taktyki wojennej*

pisze Karolina Wójcicka

9 772080 674051 11

DGP.pl DZIENNIK GAZETA PRAWNA NR 50 (6719), 13–15 MARCA 2026, CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT), ISSN 2080-6744

eprasa.pl 420f22528a

Nasza dziennikarka **Aleksandra Hołownia**, zajmująca się tematyką energetyczno-klimatyczną, została w środę laureatką Nagrody Radia Zet im. Andrzeja Woyciechowskiego w kategorii Dziennikarz dla Planety. Jury doceniło naszą autorkę „za łączenie dogłębnej wiedzy merytorycznej z umiejętnością wyjaśniania złożonych procesów zmian klimatycznych – od polityki klimatycznej po praktyczne konsekwencje dla biznesu i społeczeństwa". Uhonorowana zadeklarowała, że połowę wartej 30 tys. zł nagrody przekaże Fundacji Niepowtarzalni, zajmującej się pomocą chorym na choroby rzadkie. Artykuły laureautki można czytać regularnie na łamach DGP, a wywiady oglądać w programie „Hołownia w klimacie".

Cała redakcja DGP serdecznie Ci, Olu, gratuluje i życzy kolejnych sukcesów!

FOT. ADAM BURAKOWSKI/EAST NEWS

Nagrodę główną im. Andrzeja Woyciechowskiego otrzymał Michał Przedlacki z „Superwizjera" TVN za reportaż o polskich ochotnikach walczących z Rosją na froncie ukraińskim, w kategorii Autor internetowy zwyciężył Adam Mirek, a za autora najbardziej zasięgowej publikacji 2025 r. uznano Szymona Jadczaka z Wirtualnej Polski. ©℗

# Prezydentowi jakoś się to podoba

FOT. WOJTEK GÓRSKI

*Jan* **Wróbel**

Brak w Polsce normalnie funkcjonującego Trybunału Konstytucyjnego ułatwił życie rządowi Donalda Tuska. Gdyby bowiem powaga i pozycja TK były niezachwiane, to unijny SAFE trafiłby zapewne do zamrażarki. Nie można na sto procent przewidywać orzeczeń sądu, zwłaszcza tak upolitycznionego jak trybunał, niemniej konstytucja wskazuje jasno na pełną suwerenność władz Rzeczypospolitej w zakresie obronności państwa. Projekt europożyczki na cele wojskowe – pożyczki nadzorowanej przez inne władze niż polskie i opatrzonej warunkami sformułowanymi przez inne władze niż polskie – wskazuje na wyższy porządek niż polski. Przyjęcie unijnego SAFE wiązało się z tym, że politycy musieli przymknąć oko na tę sprzeczność. Trybunał mógłby im otworzyć oczy.

Ciekawe, jaka byłaby reakcja rządu na takie hipotetyczne orzeczenie hipotetycznie normalnego TK. Wielki lament, ale posłuszeństwo, bo dura lex sed lex? Pomstowanie na elity, na rzekome prawnicze autorytety, szukanie, kto z sędziów TK był uprzednio politykiem (co w Polsce jest prawie synonimem obelgi: zgniłek moralny, zwłaszcza w ustach polityków)? I zapowiedź, że patriotyzm nie pozwala skapitulować przed upolitycznionym wyrokiem paleoneosędziów, wysługujących się... Wszystko jedno komu, komuś na pewno, bo żaden porządny sędzia nie wydaje werdyktów mogących zablokować projekt rządu.

I ruszyłby jakiś plan B, zrobienia po swojemu, mimo orzeczenia TK. Tak jednak byłoby, mawia klasyk, „w moim idealnym świecie". W Polsce polaryzacyjnego ogłupienia sądownictwo idzie drogą, którą poszły już władza ustawodawcza i wykonawcza. Ułatwia to rządowi (obecnie Tuska, a potem, kto wie...) wieczny plan B. W skrócie: stosujemy się do tych orzeczeń TK, do których się stosujemy.

Prezydent Karol Nawrocki jest w tej sprawie sojusznikiem (!) Tuska. Z jego otoczenia płyną głosy o możliwym niezaprzysiężeniu nowych sędziów TK. Fakt, że część z nich będzie powoływana teraz, a nie miesiące lub lata temu, kiedy powstawały wakaty. Tyle że konstytucja nie daje prezydentowi prawa do mianowania członków TK (czyli jest tu inaczej niż w przypadku sędziów). Nie daje zatem i możliwości ich zablokowania.

Wskutek prawdopodobnego ruchu prezydenta za organem, który ma decydować o zgodności działań Sejmu i rządu z konstytucją, wlec się będzie ogon instytucji ułomnej – z sędziami, których nie uznaje głowa państwa. Na straży konstytucji, realnie, będzie stać zatem rząd Donalda Tuska, a na straży polskich zakupów zbrojeniowych będzie stać Unia Europejska. Mogłoby się to nie podobać prezydentowi Nawrockiemu, ale jakoś się podoba. ©℗

FOT. DAREK DELMANOWICZ/PAP

*Wywiad* / M18

# Nadwyczajna operacja

*Skoro dziś w Europie jesteśmy świadkami dyskusji o tym, by EBC brał pod uwagę kwestie klimatyczne, to dlaczego NBP nie może brać pod uwagę ryzyka geopolitycznego?*
pyta doradca prezydenta Leszek Skiba

DGP Więcej niż gazeta: wideo, podcasty, analizy na DGP.pl

DGP | Magazyn na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny: Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkowicz

Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn:
Anna Masłoń (kierownik),
Piotr Czarnowski, Emilia Świętochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki

Opinie: Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska,
Marcin Mroziuk (tygodnik PiK),
Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja
oraz Kadry i Płace:
Urszula Mirowska-Łoskot,
Joanna Pieńczykowska-Rybaczyk (tygodnik SiA), Leszek Jaworski (tygodniki KiP i UiŚ)

Firma i Prawo oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz,
Izabela Rakowska-Boroń
(tygodnik FiP)

Projekt graficzny:
Marek Knap,
Adam Głowacki

Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum Reklamy:
Michał Krukowski

Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wieczorkiewicz

Wiceprezes Zarządu:
Marcin Krawczak

Biuro Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30,
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 519 061 309

Druk:
Seregni Printing Group S.A.

INFOR

Wydawca Dziennika Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Zamówienia na prenumeratę przyjmują:
Kolporter,
Garmond Press,
GLM, AS Press
oraz urzędy pocztowe

Informacje o prenumeracie:
tel. 22 761 30 30
dgp.pl/prenumerata

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych zarówno w formie elektronicznej, jak i papierowej bez zgody wydawcy jest zabronione.

Materiały oznaczane jako: artykuły sponsorowane, prezentacje, cykle, teksty promocyjne, reklama, materiały partnera, materiały na zlecenie, materiały powstałe przy współpracy z (...), subiektywnie, debata, partner, organizator, nazwą wydarzenia (np. Perły Samorządu), partner wydania oraz inne o tożsamym charakterze stanowią materiały reklamowe w rozumieniu art. 36 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. – Prawo prasowe.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich; ℗ – znak odpłatności; ©℗ – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych

eprasa.pl 420f22528a

# Nowa walka o ogień

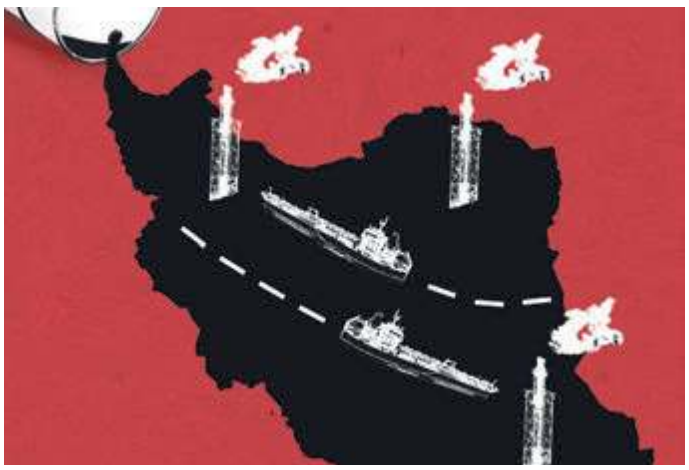

RYS. PATRYK KOCH, FOT. SHUTTERSTOCK (2), UNSPLASH/ODILE

**Wojna w Iranie i blokada cieśniny Ormuz są zarówno łabędzim śpiewem odchodzącego świata, jak i hejnałem nowej epoki**

*Piotr*

## Wójcik

Po 28 lutego na medialne czołówki trafiła wojna w Zatoce Perskiej oraz konsekwencje blokady przez Iran cieśniny Ormuz. Choć płyną tamtędy również płody rolne i wiele innych towarów, to największy niepokój zapanował na rynku ropy.

Społeczność międzynarodowa winna się jednak zacząć przyzwyczajać do podobnych kryzysów, bo dostęp do źródeł energii będzie coraz częściej napotykał wąskie gardła. A konflikty w newralgicznych punktach mogą być dla świata mniejszym problemem niż sprostanie przemianom technologicznym.

### Wojna na tankowce

Cieśnina Ormuz to przesmyk w Zatoce Perskiej oddzielający Oman od Iranu. Jest całkiem szeroka, gdyż w najwęższym miejscu ma 54 km, jednak z powodu licznych raf, dwóch wysp kontrolowanych przez Iran (Keszm i Ormuz) i wielu płycizn szlak dla tankowców w pewnym momencie zwęża się do 3 km. Na tak niewielkiej przestrzeni Teheran może dokonać skutecznych ataków na statki za pomocą zwykłych dronów.

Według danych U.S. Energy Information Administration (US EIA) w I kw. 2025 r. przez Ormuz każdego dnia przepływało 20 mln baryłek ropy (surowej i rafinowanej), co stanowi niespełna jedną piątą światowego zużycia surowca (102 mln baryłek). Jeszcze bardziej efektownie wygląda to na tle całego transportu ropy drogą morską – przesmyk odpowiada za ponad jedną czwartą. Przez cieśninę przewożone są też bardzo duże ilości gazu skroplonego (LNG), głównie z Kataru. Zdecydowana większość surowców nie trafia jednak do Europy. Jak szacuje US EIA, w 2024 r. 84 proc. ropy naftowej oraz 83 proc. LNG przesyłanych przez Ormuz trafiło na rynki azjatyckie – największymi odbiorcami były Chiny, Indie, Japonia i Korea Płd. Oczywiście Zatoka Perska nie jest jedynym źródłem paliw dla Azji, ale długotrwałe zablokowanie transportów z tego kierunku może tam wywołać ogromne turbulencje gospodarcze. Tym bardziej że ropa z Rosji jest obłożona sankcjami, które drastycznie utrudniają zakupy od Moskwy – nawet Chinom oraz Indiom, które próbują na różne sposoby ominąć ograniczenia.

Europie przerwanie dostaw nie grozi, gdyż w większości kupuje surowce z innych kierunków. Jednak Stary Kontynent odczuje ten kryzys w postaci wzrostu cen – wojna już sprawiła, że cena baryłki ropy zaczęła oscylować w granicach 100 dol. Ale nie jest to wcale najgorszy scenariusz, jaki można sobie wyobrazić. Bo jeszcze trzy lata temu baryłka kosztowała ok. 120 dol., a jednak czołowe gospodarki świata się nie załamały. W piątek, 6 marca „The Financial Times" przytoczył ostrzeżenie ministra energetyki Kataru, według którego kilkutygodniowa przerwa w kursach z Zatoki Perskiej mogłaby wywindować cenę baryłki do 150 dol. Oznaczałoby to przebicie rekordu z 2008 r., gdy trzeba było za nią płacić 147 dol.

„FT" ostrzegał również przed powrotem do wojny na tankowce, sytuacji z lat 80. XX w., gdy walczące ze sobą Irak z Iranem nie tylko wystrzeliwały w kierunku statków rakiety, lecz także zaminowywały szlaki wodne. Szczęściem w nieszczęściu jest to, że według informacji Waszyngtonu armia amerykańska niemal zlikwidowała flotę Iranu, więc zaminowanie cieśniny stało się mało prawdopodobne.

### Wąskie gardła

Najwięcej energii zużywają te państwa, które muszą surowce sprowadzać, bo albo mają ich za mało w stosunku do swoich potrzeb, albo wcale. Spośród największych gospodarek tylko Stany Zjednoczone są per saldo eksporterem paliw. Zarówno UE, jak i Chiny czy Japonia muszą importować źródła energii. Handel paliwami to jedna z absolutnie największych i najbardziej newralgicznych branż globu.

Ubogie w surowce regiony świata musiały się wyspecjalizować w produkcji, a później w usługach, dzięki czemu wykształciły zdywersyfikowane i rozwinięte gospodarki, w których zamożność jest stosunkowo egalitarnie rozłożona. Zaś zasobne w bogactwa naturalne państwa uzależniły się od mało skomplikowanego eksportu paliw, w wyniku czego ich gospodarki stały się monokulturowe. Ukuto wręcz termin „przekleństwo zasobów", które dotyczy szczególnie najbiedniejszych eksporterów paliw, takich jak Nigeria czy Wenezuela.

Trudno powiedzieć, kto jest bardziej od kogo uzależniony: producenci czy importerzy. Przykładowo Japonia, szczególnie po rozpoczęciu wygaszania stosów atomowych, w sytuacji odcięcia od dostaw paliw mogłaby przeżyć głębokie załamanie gospodarcze. W 2025 r. paliwa mineralne odpowiadały za jedną piątą jej importu i stanowiły zdecydowanie największą kategorię. Tymczasem dla Arabii Saudyjskiej eksport paliw odpowiada za niemal trzy czwarte całej sprzedaży zagranicznej. Podobnie wygląda to w pozostałych globalnych stacjach benzynowych. Długotrwałe zatrzymanie możliwości handlu surowcami to dla krajów Zatoki Perskiej załamanie gospodarek – z turystyki czy pielgrzymek tych wszystkich drapaczy chmur utrzymać się nie da.

W związku z tym sprawny transport paliw jest kluczowy dla niemal wszystkich graczy na arenie międzynarodowej. Tymczasem cieśnina Ormuz jest tylko jednym z wielu wąskich gardeł światowej energetyki. Dla państw Azji być może ważniejsza od niej jest cieśnina Malakka, przez którą przepływa nawet 80 proc. ropy importowanej przez Chiny, Japonię i Koreę Południową. Alternatywna trasa wiedzie przez cieśninę Lombok w Indonezji. Dla Europy niezwykle istotne są Kanał Sueski ▷

eprasa.pl 420f22528a

i cieśnina Gibraltarska, która jest bramą dla amerykańskich paliw płynących do Europy Zachodniej. Dla państw Morza Bałtyckiego kluczowa jest cieśnina Sund, przez którą dostarczany jest m.in. do Polski gaz skroplony z USA i Kataru.

Każdy z tych przesmyków jest usytuowany w potencjalnie zapalnym regionie świata. Kanał Sueski leży w pobliżu półwyspu Synaj, o który do niedawna spór toczyły Izrael z Egiptem. Cieśniny Malakka i Lombok może zablokować Indonezja, która spiera się z Chinami o wyspy na Morzu Południowochińskim. Gibraltar może stać się ofiarą konfliktu między Hiszpanią a Marokiem o dwie afrykańskie enklawy – Ceutę i Melillę – oraz szereg wysp, które Rabat uznaje za okupowane. Sund z kolei mogłaby zostać zablokowana przez Rosję, chociażby poprzez unieruchomienie w tym miejscu floty cieni.

Większość z tych konfliktów tkwi w stanie zamrożenia, ale dalsza eskalacja napięć międzynarodowych może sprawić, że kolejne transportowe wąskie gardła zaczną być blokowane jedne po drugim. W nadchodzących latach znacznie większe znaczenie dla energetyki będą jednak miały newralgiczne punkty o charakterze infrastrukturalnym, a nie geograficznym.

## Epoka prądu

Globalne zapotrzebowanie na energię w nadchodzących latach będzie nieustannie rosnąć. Tym razem ten wzrost napędzi nie bezpośrednie spalanie ropy, jak się to działo w XX w., ale produkcja prądu. Według raportu Międzynarodowej Agencji Energii (IEA) „Electricity 2026", do końca dekady wzrost rocznego zapotrzebowania na energię elektryczną będzie przewyższać o połowę przyrosty notowane w ciągu ostatniej dekady. To sprawi, że zapotrzebowanie na prąd będzie przyrastać 2,5 razy szybciej niż cała energetyka ogółem. Co więcej, w ujęciu globalnym zużycie energii elektrycznej odrywa się od wzrostu gospodarczego. Pomijając kryzysy, przyrost użycia elektryczności szedł w parze ze wzrostem PKB, jednak do końca 2030 r. popyt na prąd będzie przewyższał dynamikę gospodarki. Ma to związek ze zmianami w państwach rozwiniętych, które po 15 latach stagnacji notują rosnący popyt na elektryczność. W poprzednich latach to rynki wschodzące były motorem rosnącego zapotrzebowania na prąd. Tymczasem już w zeszłym roku kraje rozwinięte odpowiadały za 20 proc. globalnego wzrostu popytu, chociaż jeszcze rok wcześniej było to 17 proc.

W latach 2026–2030 w USA zapotrzebowanie na energię elektryczną rosnąć będzie w tempie 2 proc. rocznie, w UE nawet o 2,3 proc. W ujęciu procentowym liderem są i pozostaną Chiny, które w zeszłym roku odpowiadały za połowę dodatkowego światowego popytu na elektryczność – a do końca dekady mają zwiększyć zapotrzebowanie o wartość równą aktualnemu rocznemu zużyciu w całej UE. Z kolei w przypadku Indii prognozuje się wzrost o 6,4 proc. Cały świat będzie pod tym względem rósł w tempie ok. 4 proc. rocznie do końca dekady. Według prognozy MFW globalne PKB w tym roku wzrośnie o 3,3 proc.

Ten drastyczny wzrost popytu na prąd jest przyczyną utrzymywania się istotnego znaczenia węgla w produkcji energii. Udział czarnego złota w globalnym miksie będzie spadał, ale nominalnie do końca dekady jego spalanie będzie utrzymywało mniej więcej podobny poziom. Według IEA w 2025 r. wytworzono z węgla 10,8 tys. TWh mocy. W 2030 r. będzie to 10,3 tys. TWh. W zeszłym roku odpowiadał on za ponad jedną trzecią wytworzonych mocy, na koniec dekady będzie to ponad jedna czwarta. Pod względem nominalnym rosnąć będzie za to spalanie gazu. W latach 2025–2030 moc wytworzona z tego paliwa wzrośnie z 6,8 tys. TWh do 7,7 tys. TWh, co oznacza utrzymanie udziału w miksie na poziomie ponad jednej piątej. Znaczenie ropy w produkcji energii elektrycznej jest marginalne i będzie spadać.

Druga połowa trzeciej dekady będzie jednak okresem boomu odnawialnych źródeł energii. Dotyczyć to będzie szczególnie fotowoltaiki. Moce wyprodukowane dzięki Słońcu wzrosną wręcz skokowo: z 2,7 tys. TWh w 2025 r. do 5,8 tys. TWh w 2030 r. Tym samym energia słoneczna prześcignie nie tylko wiatr i atom, lecz także wodę (4,7 tys. TWh w 2030 r.), która spadnie na czwarte miejsce pod względem wytwarzania prądu. Zaraz za nią znajdzie się energia wiatrowa, która w 2030 r. osiągnie 4,5 tys. TWh wyprodukowanej mocy. Energia jądrowa też jest w trendzie wzrostowym i w latach 2025–2030 zanotuje wzrost z 2,9 tys. TWh do 3,3 tys. TWh. Niskoemisyjne źródła energii ogółem (OZE plus atom) zwiększą swój udział w globalnym miksie z 42 proc. do 50 proc.

## Koszty postępu

Główną przyczyną rosnącego popytu na energię elektryczną jest gwałtowny postęp technologiczny. Rozwój internetu i wzrost możliwości obliczeniowych procesorów ułatwiają prowadzenie działalności gospodarczej w każdej branży, a dostęp do najnowszych technologii daje ogromną przewagę nad konkurencją. Równocześnie drastycznie rosną ceny sprzętu, co ogranicza dostęp do niego (w mniejszym stopniu do oprogramowania).

Przedsiębiorstwa coraz częściej wybierają model subskrypcyjny – zamiast kupować hardware, wolą nabywać dostęp na określony czas. Leasing sprzętu komputerowego jest znany wielu od lat, ale to forma zakupu na raty. W ostatnim czasie w Polsce w czołowych sieciach sklepów komputerowych pojawiły się oferty abonamentu dla firm, dzięki którym można wypożyczać przeróżne urządzenia elektroniczne, płacąc za nie miesięczny czynsz. Dzięki upowszechnieniu szybkiej sieci znacznie bardziej użyteczne stało się jednak wykorzystywanie zewnętrznych serwerów, które zapewniają ogromną wydajność nawet na komputerach czy smartfonach starszych generacji. Popyt na usługi chmurowe, w tym na AI, stał się tak duży, że najwięksi dostawcy rozwiązań high-tech rozpoczęli wyścig na tworzenie gigantycznych centrów obliczeniowych i przechowywania danych.

W ten sposób powstało swego rodzaju technologiczne perpetuum mobile. Rosnące ceny sprzętu zniechęciły przedsiębiorstwa do rozwoju infrastruktury informatycznej i skierowały ich zainteresowanie w stronę chmury. Rozwój usług chmurowych nabrał więc takiego rozpędu, że producenci wielkich serwerowni zaczęli pochłaniać niemal całą podaż hardware'u, co oczywiście skutkuje jeszcze szybszym wzrostem jego cen. Najlepiej pokazać to na przykładzie pamięci RAM: jeszcze latem zeszłego roku 32 GB DDR5 można było kupić za ok. 500 zł, obecnie to wydatek nawet 2 tys. zł.

Rezultatem jest szybki wzrost odsetka przedsiębiorstw korzystających z usług chmurowych. Według Eurostatu w 2023 r. z chmury korzystało ponad 45 proc. firm w UE. W 2025 r. było to już niespełna 53 proc. W ledwie dwa lata zanotowano przyrost o 7,5 pp. W Polsce z zewnętrznych centrów obliczeniowych korzysta 55 proc. przedsiębiorstw, co plasuje nas w środku stawki z wynikiem identycznym z tym, jaki mają Czesi. W Niemczech z chmury korzysta 54 proc. firm. Na szarym końcu znalazły się Rumunia, Grecja i Bułgaria (poniżej 30 proc.). W Finlandii, we Włoszech, na Malcie, w Irlandii i Szwecji usługi chmurowe nabywa ponad 70 proc. podmiotów gospodarczych.

To oczywiście generuje ogromne zapotrzebowanie na energię elektryczną. Według danych IEA w ostatnich pięciu latach zużycie prądu w centrach obliczeniowych rosło w tempie 12 proc. rocznie. W 2024 r. odpowiadały za 1,5 proc. globalnej konsumpcji elektryczności, zużywając 415 TWh. W 2030 r. usługi chmurowe zużyją już 945 TWh, co będzie odpowiadać 3 proc. globalnej konsumpcji mocy. Za cztery piąte przyrostu odpowiadać będą USA i Chiny. Do końca dekady w Stanach Zjednoczonych zapotrzebowanie centrów danych na prąd wzrośnie łącznie o 130 proc. W Państwie Środka aż o 170 proc. Na drugim miejscu znajdują się Japonia (80 proc.) i Unia (70 proc.). Na koniec dekady USA będą odpowiadać za ponad 40 proc. globalnego zużycia energii przez serwerownie usług chmurowych – będą one pobierać równowartość 10 proc. mocy zużywanych przez tamtejsze gospodarstwa domowe.

FOT. TOM STODDART/HULTON ARCHIVE/GETTY IMAGES

## Elektryzująca geopolityka

Rozwój usług chmurowych będzie głównym – lecz niejedynym – motorem gwałtownych przemian w światowej energetyce. Obserwujemy również ekspansję pojazdów elektrycznych (EV). Na przykład w zeszłym roku w Polsce ich liczba na drogach wzrosła o 53 tys., do 122 tys. Według Polish EV Outlook rozrost rynku elektryków w naszym kraju do 2040 r. wygeneruje 6 proc. dodatkowego zapotrzebowania na prąd. Tymczasem Polska wcale nie jest w czołówce pod tym względem.

W kolejce po prąd czeka też rozwój inteligentnych miast, które będą automatycznie dostosowywać sygnalizację świetlną czy wysokość opłat za parkowanie do natężenia ruchu. Dzięki internetowi rzeczy (IoT) będziemy dysponować już nie tylko smartfonami, lecz także smart lodówkami, smart pralkami czy inteligentnym oświetleniem. Z urządzeń autonomicznych coraz częściej korzystają także służby porządkowe oraz wojsko – chociażby do patrolowania. To wszystko będzie wymagać niespotykanej wcześniej przepustowości sieci i produkcji ogromnej ilości prądu.

Blokada cieśniny Ormuz jest więc zarówno łabędzim śpiewem odchodzącego świata, jak i hejnałem nowej epoki. Tym pierwszym, ponieważ blokada przesmyku wywołała gorącą debatę na temat kosztów baryłki ropy i cen paliw na stacjach. Ropa jest jednak paliwem powoli kończącej się epoki, gdyż o ile dobrze się sprawdza w napędzaniu silników mechanicznych, o tyle jako surowiec do produkcji prądu jest nieefektywna. Ceny ropy stopniowo będą coraz słabiej rozpalać głowy obywateli państw rozwiniętych, na czołówkach mediów znajdą się za to przeciętne ceny wytworzenia kilowatogodziny mocy. Blokada przesmyku zapowiada jednak epokę, w której blokowanie wąskich gardeł energetyki nieprzyjaciela stanie się ważniejsze niż uderzanie w jego potencjał militarny. Zresztą testuje to Rosja, dokonując masowych i nieprecyzyjnych uderzeń na sieci energetyczne Ukrainy, co doprowadziło tej zimy do black-outu w Kijowie.

Dostęp do taniej i stabilnej energii elektrycznej staje się kluczową przewagą w globalnej rywalizacji. Uboga w surowce Unia Europejska nie stoi jednak na przegranej pozycji. Wielką zaletą UE jest stworzenie wspólnego rynku energii, który zapewnia możliwość nieustannego importu i eksportu prądu przez państwa członkowskie. Dzięki temu transgraniczne przepływy wytworzonych mocy trwają nieustannie, a system działa w taki sposób, by stale monitorować zapotrzebowanie i w pierwszej kolejności wytwarzać

eprasa.pl 420f22528a

Rafineria Aramco w Arabii Saudyjskiej

energię z najtańszych źródeł. Wykorzystanie w nim możliwości, jakie daje AI, może stworzyć w Europie najbardziej efektywny system energetyczny pod względem zużywania surowców i minimalizowania kosztów. UE powinna jednak rozważyć korektę polityki klimatycznej, rezygnując z całkowitej dekarbonizacji, by bloki węglowe i najlepiej rozwinięte kopalnie pozostały jako rezerwa strategiczna, która w każdej chwili będzie mogła uruchomić swoje moce zależnie od potrzeb.

Polska tak czy inaczej musi kontynuować rozwój OZE i dostosowywać do niego infrastrukturę – sieć przesyłową i magazyny energii – by uniezależnić się od dostawców surowców. W zeszłym roku niskoemisyjne źródła po raz pierwszy w historii zanotowały niemal jedną trzecią udziału w miksie III RP, ale to wciąż mniej niż średnia światowa (42 proc.). Skoro czas nagli, to przyspieszania wymagają nie tylko zbrojenia, lecz także program jądrowy. Dlatego też zamiast celować w ogromne bloki jądrowe, jak te budowane właśnie we współpracy z Westinghouse, rząd powinien skierować zainteresowanie na reaktory modułowe SMR, które można postawić w kilka lat. Żeby w przyszłości wrogie unieruchomienie instalacji w Choczewie nie stało się polskim odpowiednikiem blokady cieśniny Ormuz. ©℗

# Nierozwiązany problem cieśniny Ormuz

**Kaskadę niekorzystnych dla nas wszystkich zdarzeń wynikających z zamknięcia tego kluczowego dla globalnej gospodarki szlaku żeglugowego wciąż można zatrzymać**

*Tomasz*

## Jóźwik

W poniedziałek cena baryłki gatunku Brent zbliżyła się do 120 dol., osiągając najwyższy poziom od czerwca 2022 r. Do historycznego rekordu sprzed czterech lat zabrakło 20 dol. Nie wiadomo, jak potoczyłyby się wydarzenia, gdyby nie słowna interwencja Donalda Trumpa. W rozmowie telefonicznej ze stacją CBS News prezydent USA stwierdził, że działania zbrojne przeciw Iranowi znacznie wyprzedzają początkowy harmonogram, zgodnie z którym walki miały potrwać cztery–pięć tygodni.

### Marynarka USA nie pomoże statkom. Iran: będziemy ciągle atakować

Rynek ropy zareagował natychmiast. Notowania spadły do 90 dol. Dzień później, gdy Trump powiedział, że wojna zakończy się „bardzo szybko", cena baryłki obniżyła się nawet do 81 dol. To tylko o 8 dol. więcej niż surowiec kosztował 27 lutego, przed rozpoczęciem nalotów na Iran. ▷

eprasa.pl 420f22528a

Deklaracje Trumpa to jednak za mało, żeby sytuacja na rynku surowców energetycznych wróciła do normy. Do tego trzeba by odblokować regularny ruch statków przez cieśninę Ormuz. Praktycznie od pierwszego dnia konfliktu szlak łączący największych producentów ropy z resztą świata pozostaje zamknięty dla cywilnej żeglugi. Przez cieśninę przepływa ok. 20 proc. zużywanej na świecie ropy naftowej i 20 proc. gazu ziemnego eksportowanego w postaci LNG.

Dlatego próby sprowadzania cen surowców energetycznych do poziomu sprzed konfliktu tylko za pomocą słów mają jedynie przejściowy wpływ na rynek. W szczególności jeśli słowa padają z ust Donalda Trumpa lub członków jego administracji. Amerykański prezydent i jego ludzie często mijają się z prawdą lub przynajmniej składają deklaracje bez pokrycia. Już w pierwszym tygodniu konfliktu Trump zapowiedział, że amerykańskie okręty będą eskortować tankowce przepływające przez cieśninę. Marynarka wojenna miała wysłać do unieruchomionych w regionie tankowców wiadomość, żeby te zgłosiły się po pomoc. We wtorek Chris Wright, sekretarz ds. energii w administracji Trumpa, poinformował we wpisie na portalu X, że „Marynarka Wojenna USA z powodzeniem eskortowała tankowiec przez cieśninę Ormuz". Informację podały najważniejsze globalne agencje informacyjne, jednak po ok. 30 min wiadomość została usunięta. Okazała się nieprawdziwa, a błąd miał popełnić pracownik zarządzający kontem sekretarza. Nie po raz pierwszy w przypadku administracji Donalda Trumpa w przestrzeni publicznej pojawiły się przypuszczenia, że mogła to być próba manipulacji rynkiem.

Według informacji „Wall Street Journal" amerykańskie wojsko odrzuciło liczne prośby ze strony krajów Zatoki Perskiej o eskortowanie statków zamierzających przepłynąć Ormuz. Pentagon uważa, że wykonanie takiej usługi nie jest na razie możliwe, ponieważ Iran wciąż jest w stanie skutecznie atakować jednostki przepływające przez cieśninę.

W środę zostały uszkodzone trzy statki. Władze w Teheranie poinformowały o ostrzelaniu płynącego pod tajlandzką banderą masowca Mayuree Naree, który „nielegalnie próbował przepłynąć przez cieśninę Ormuz". Z jednostki ewakuowano 20 marynarzy, z których część została ranna. Trzech członków załogi Mayuree Naree uznano za zaginionych.

Irańskie siły zbrojne zagroziły w środę, że zamiast odwetowych uderzeń w reakcji na ataki Izraela i Stanów Zjednoczonych przejdą do ciągłego nękania swoich wrogów. Irańska marynarka rozpoczęła również zaminowywanie cieśniny.

## Rezerwy strategiczne załatają dziury w podaży

W czwartek, gdy rozpoczęła się sesja na rynkach azjatyckich, notowania gatunku Brent wróciły do 100 dol. za baryłkę i są o 35 proc. wyższe niż przed wybuchem konfliktu. Ponownego wzrostu cen nie zatrzymała deklaracja Międzynarodowej Agencji Energetycznej (IEA) o uwolnieniu rezerw strategicznych. 31 państw członkowskich, na czele ze Stanami Zjednoczonymi, uzgodniło, że na rynek trafi 400 mln baryłek ropy.

Będzie to największa interwencja w historii IEA. Dla porównania, po ataku Rosji na Ukrainę w 2022 r. podaż ropy uzupełniło 182 mln baryłek z rezerw. Agencja, afiliowana przy Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju (OECD), powstała w 1973 r., po tym jak światem wstrząsnął pierwszy kryzys naftowy. Do OECD i IEA należy również Polska.

Japonia zadeklarowała, że niezależnie od IEA uwolni zapasy ropy pokrywające zapotrzebowanie kraju na 45 dni. Działania takie mają zapobiec dalszemu podnoszeniu się cen ropy, który groziłby znaczącym wzrostem inflacji, zmusił banki centralne do utrzymywania podwyższonych stóp procentowych i obniżył tempo wzrostu gospodarczego na świecie.

Z notowań kontraktów terminowych na ropę naftową wynika utrzymująca się od początku konfliktu wiara inwestorów, że wojna na Bliskim Wschodzie zakończy się dość szybko. Za surowiec z dostawą w grudniu 2026 r. trzeba zapłacić 70–75 dol. za baryłkę. Od początku nalotów na Iran w minimalnym stopniu wzrosły ceny ropy z dostawą w 2027 r. i później. Taka struktura terminowa cen, gdzie notowania kontraktów są tym niższe, im odleglejszy termin rozliczenia, określa się terminem backwardation. W tej sytuacji oznacza to, że inwestorzy oczekują problemów z podażą w krótkim terminie i normalizacji sytuacji w przyszłości.

## Irak i Kuwejt w krytycznej sytuacji

Jednocześnie jednak wzrost bieżących notowań już po decyzji IEA o uwolnieniu rezerw dowodzi, jak ważną kwestią jest odblokowanie cieśniny Ormuz. Wstrzymanie przepływu statków coraz silniej wpływa na poziom wydobycia w państwach Zatoki Perskiej. Jak wyliczyli analitycy banku JP Morgan, siedmiu głównych producentów w regionie – Arabia Saudyjska, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Irak, Kuwejt, Katar, Oman i Iran – ma 343 mln baryłek wolnych pojemności w magazynach ropy. Dodatkowe 50 mln można załadować na tankowce. Oznacza to, że bez możliwości wypchnięcia ropy na zewnątrz produkcja będzie przebiegać bez zakłóceń przez 22–25 dni. Później trzeba ją będzie wstrzymać.

Sytuacja poszczególnych państw jest różna. Arabia Saudyjska, największy producent w regionie, może część wydobywanego surowca przekierować rurociągiem na Morze Czerwone. W najtrudniejszej sytuacji znajdują się Irak i Kuwejt, które łącznie wydobywają ok. 7,3 mln baryłek dziennie, co odpowiada ok. 7 proc. globalnej produkcji. Oba państwa są całkowicie zależne od transportu przez Ormuz. W Iraku, który w normalnych warunkach wydobywa ok. 4,5 mln baryłek dziennie, produkcja spadła do 1,3–1,8 mln baryłek.

Stracona produkcja to trwały ubytek w podaży, ale prawdopodobnie jedynie krótkoterminowy. Analitycy JP Morgan szacują, że po dwóch tygodniach zamknięcia cieśniny globalna podaż spada o 3,8 mln baryłek dziennie. Po 18 dniach rachunek zbliża się już jednak do 5 mln baryłek. Te braki można wypełnić strategicznymi rezerwami. Większe problemy, o długoterminowych konsekwencjach, pojawią się po wypełnieniu magazynów, co wymusi wstrzymanie produkcji w regionie na masową skalę. Chodzi o to, że zamykanie złoża jest dość ryzykowną operacją. Specjalne urządzenie wtłacza płuczkę do odwiertu, blokując przepływ ropy i gazu. Powoduje to w mniejszym lub większym stopniu zablokowanie porów skalnych, w których są osadzone węglowodory, i zmienia ciśnienie wewnątrz odwiertu. Wznowienie produkcji jest kosztowne, a dodatkowo nie wiadomo, czy złoże będzie pracować z taką samą wydajnością, szczególnie gdy przerwa w wydobyciu trwa dłużej. W 2020 r., gdy po wybuchu pandemii i gwałtownym spadku popytu w magazynach zabrakło miejsca na niesprzedany surowiec, rosyjscy inżynierowie zastanawiali się, czy lepszym rozwiązaniem od zamykania złoża nie będzie spalanie wydobywanej ropy na miejscu.

> Stracona produkcja to trwały ubytek w podaży ropy, ale prawdopodobnie jedynie krótkoterminowy. Większe problemy, o długoterminowych konsekwencjach, pojawią się po wypełnieniu magazynów, co wymusi wstrzymanie wydobycia w regionie na masową skalę

## Cieśnina Ormuz – wąskie gardło globalnej gospodarki

Szlak łączący Zatokę Perską z Morzem Arabskim ma ogromne znaczenie nie tylko dla rynku surowców energetycznych. Pięć państw regionu – Arabia Saudyjska, Zjednoczone Emiraty Arabskie, Katar, Iran i Kuwejt – odpowiada za jedną czwartą globalnej produkcji siarki, która powstaje jako produkt uboczny rafinacji ropy naftowej i gazu ziemnego. Połowa światowego eksportu tego surowca przepływa przez Ormuz. Bez siarki nie powstanie kwas siarkowy, najpopularniejszy związek chemiczny produkowany na świecie, którego wytwarza się 230–250 mln t rocznie.

Kwas siarkowy jest szeroko wykorzystywany przez firmy wydobywcze metali przemysłowych – miedzi, niklu, litu czy kobaltu. Za połowę globalnej podaży niklu o jakości odpowiedniej do produkcji baterii zasilających samochody elektryczne odpowiada Indonezja. Tamtejsi producenci osadu mieszanego wodorotlenku niklu (MHP), z którego pozyskuje się nikiel oraz kobalt, wstrzymali przyjmowanie długoterminowych zamówień. Z kolei 70 proc. globalnej produkcji kobaltu przypada na Demokratyczną Republikę Konga, która również będzie miała problemy, jeśli pojawią się przestoje w produkcji kwasu siarkowego. Bez wymienionych metali nie powstaną nie tylko samochody elektryczne, lecz także systemy magazynowania OZE.

Inny przykład – przez Ormuz przepływa jedna trzecia eksportowanego helu. Pierwiastek jest wykorzystywany do odprowadzania ciepła w procesie produkcji chipów i nie ma zamienników. Od helu znad Zatoki Perskiej zależna jest odpowiadająca za dwie trzecie światowego zapotrzebowania na układy pamięci Korea Południowa.

Mikroprocesory – ze względu na gwałtowny wzrost popytu związany z rozwojem sztucznej inteligencji – stały się jednym z wąskich gardeł globalnej gospodarki. Już przed wybuchem konfliktu na Bliskim Wschodzie wytwórcy chipów byli zmuszeni ograniczyć dostawy dla producentów smartfonów, komputerów czy samochodów, a ceny układów pamięci wystrzeliły w górę. Nawet jeśli nie dojdzie do przestojów w produkcji, nabywcy muszą się liczyć z dalszym wzrostem ich cen.

Ekonomiści Rabobanku ostrzegają natomiast, że dłuższa blokada cieśniny doprowadzi do wzrostu cen nawozów. Siarka to jeden z podstawowych surowców wykorzystywanych do produkcji nawozów fosforowych. Drugim jest amoniak, którego globalna podaż również jest w dużym stopniu uzależniona od transportu przez Ormuz. W przypadku mocznika – podstawy nawozów azotowych – tym kluczowym szlakiem przepływa ponad 40 proc. globalnego eksportu. Nietrudno przewidzieć, że droższe nawozy w połączeniu z wyższymi cenami paliw doprowadzą do wzrostu cen towarów rolnych i żywności. Eksperci Rabobanku przewidują, że ceny towarów rolnych wzrosną mimo wszystko za mało, żeby zrekompensowało to wyższe koszty produkcji. W rezultacie zyski rolników spadną, ograniczą oni zużycie nawozów, co sprawi, że ich producenci również ucierpią.

Tę kaskadę niekorzystnych dla nas wszystkich zdarzeń wciąż można zatrzymać. Tylko jest na to coraz mniej czasu. ©℗

Więcej niż gazeta! Skanuj kod! DGP.pl

eprasa.pl 420f22528a

# Świat

FOT. HAMARA/SHUTTERSTOCK

# Diabelskie złoto

**Czy Amerykanom chodzi w Iranie tylko o ropę? Wyjaśnianie konfliktów między państwami walką o zasoby jest często nadmiernym uproszczeniem**

*Sebastian*

## Stodolak

„Większość Teheranu spała, gdy tuż przed północą 15 sierpnia 1953 r. w ciemności wyruszył w drogę osobliwy konwój. Na jego czele jechał opancerzony samochód z wojskowymi oznaczeniami. Za nim podążały dwa jeepy oraz kilka wojskowych ciężarówek pełnych żołnierzy (...) To była dobra noc, by obalić rząd." – tak zaczyna się pierwszy rozdział książki „Wszyscy ludzie Szacha" Stephena Kinzera, który opisuje obalenie rządu premiera Mohammada Mosaddegha. Do zamachu stanu doszło w wyniku operacji Ajax zorganizowanej przez CIA i MI6. Jej celem było przede wszystkim zabezpieczenie interesów naftowych.

Porwanie przez USA Nicolasa Maduro i zabicie ajatollaha Chameneia można dziś łatwo odczytać jako potwierdzenie tezy o tym, że dostęp do ropy stanowi główne źródło ▷

eprasa.pl 420f22528a

konfliktów zbrojnych. W końcu Wenezuela ma – przynajmniej na papierze – największe rezerwy czarnego złota na świecie, a Iran jest w tej klasyfikacji trzeci. Jankeska chciwość ubrana w szaty walki z tyranami?

## Amerykańskie szczęście

Juan Pablo Pérez Alfonzo, wenezuelski dyplomata, który zainicjował powstanie OPEC, nazwał ropę „odchodami diabła". Jego zdaniem bogactwo naftowe nie tylko prowadzi do uzależnienia gospodarki od jednego surowca i niszczenia innych sektorów, lecz także przyczynia się do wzrostu korupcji i zaostrzenia geopolitycznej rywalizacji.

Oficjalnym uzasadnieniem ostatniej interwencji Stanów Zjednoczonych w Wenezueli była walka z przestępczością narkotykową i rozbicie struktur państwowych zaangażowanych w handel kokainą. Niemniej Donald Trump wypowiadał się dużo bardziej otwarcie o ekonomicznym wymiarze tej sprawy. Podczas jednego z wystąpień podkreślał, że obecnie Stany Zjednoczone „mają w Wenezueli olbrzymie ilości ropy", bo w wyniku porozumienia z nową władzą amerykańskie firmy energetyczne uzyskały dostęp do tamtejszego sektora naftowego. Sektora, który w 1976 r. został znacjonalizowany przez prezydenta Carlosa Andrésa Péreza. W wyniku tego procesu powstał państwowy koncern Petróleos de Venezuela (PDVSA).

Nacjonalizacja była także bezpośrednią przyczyną zmiany reżimu w Iranie w 1953 r. Konflikt rozpoczął się, gdy premier Mohammad Mosaddegh próbował przeprowadzić audyt brytyjskiej korporacji wydobywczej Anglo-Iranian Oil Company (AIOC). Podejrzewał, że firma nie płaci wszystkich należnych opłat licencyjnych. AIOC nie zgodziła się na audyt, w wyniku czego premier Iranu znacjonalizował cały przemysł wydobywczy i wydalił z kraju zagraniczne firmy. W tym momencie los Mosaddegha został przesądzony. Amerykanie i Brytyjczycy zorganizowali pucz, który doprowadził do przywrócenia zachodniej kontroli nad eksploatacją irańskiej ropy. W 1954 r. utworzono międzynarodowe konsorcjum naftowe, obejmujące m.in. Standard Oil of New Jersey, Standard Oil of California, Gulf, Texaco i Socony-Vacuum, Royal Dutch Shell i Compagnie Française des Pétroles. Iran formalnie pozostał właścicielem zasobów, lecz realną kontrolę nad wydobyciem, technologią i sprzedażą ponownie przejęły zagraniczne koncerny.

Sytuację odwróciła dopiero rewolucja islamska z 1979 r. Reżim ajatollaha Ruhollaha Chomeiniego zerwał współpracę z zachodnimi firmami naftowymi, co radykalnie pogorszyło jego relacje z Waszyngtonem. Po zajęciu ambasady USA w Teheranie i wybuchu kryzysu zakładników (1979–1981) doszło do zerwania stosunków dyplomatycznych. W kolejnych dekadach Stany Zjednoczone nałożyły na Iran sankcje gospodarcze, które ograniczyły mu możliwość rozwoju technologii i inwestycji w sektorze naftowym.

Zwolennicy surowcowej teorii konfliktów zbrojnych mogą interpretować dzisiejsze wydarzenia jako próbę odzyskania przez Amerykanów dostępu do irańskich złóż. Tak też odczytywali interwencję w Iraku w 2003 r. Po latach teorię tę potwierdził były szef Rezerwy Federalnej Alan Greenspan, pisząc, że „wojna w Iraku w dużej mierze dotyczyła ropy".

## Wojny surowcowe

„Choć zagrożenie wojnami o kontrolę nad rezerwami ropy bywa często wyolbrzymiane, to suma politycznych skutków wywołanych przez przemysł naftowy sprawia, że jest on jedną z głównych przyczyn wojen we współczesnym świecie – przekonuje politolog Jeff D. Colgan z Brown University w artykule „Fueling the Fire. Pathways from Oil to War" (Dolewając paliwa do ognia. Ścieżki od ropy do wojny). Na podstawie danych o konfliktach zbrojnych z lat 1973–2007 Colgan doszedł do wniosku, że ok. 25 proc. z nich miało silny związek z naftą. „Żaden inny czynnik ekonomiczny, z wyjątkiem zdobyczy terytorialnych, nie odgrywa tak ważnej roli w konfliktach między państwami jak ropa" – zauważa badacz.

Najbardziej oczywisty mechanizm powstawania napięć to próba przejęcia złóż jednego kraju przez drugi. Klasycznym przykładem jest inwazja Iraku na Kuwejt w 1990 r. Saddam Husajn oskarżył sąsiada o „kradzież ropy" z pola Rumaila, licząc na przejęcie jego zasobów, które stanowiły wówczas ok. 10 proc. światowych rezerw surowca. Amerykański sekretarz stanu James Baker przestrzegł później w Kongresie, że takie posunięcie Bagdadu diametralnie zmieniłoby układ sił na globalnym rynku energii. Aby temu zapobiec, rok później USA odpowiedziały interwencją zbrojną.

Drugi mechanizm polega na tym, że petrodochody wzmacniają autorytarne reżimy i ich skłonność do prowadzenia agresywnej polityki zagranicznej. Tak było po drugim kryzysie naftowym, gdy zyski ze sprzedaży ropy umożliwiły reżimowi w Bagdadzie rozpoczęcie ośmioletniej wojny z Iranem w 1980 r.

Trzeci mechanizm polega na tym, że infrastruktura energetyczna staje się strategicznym celem wojennym. Podczas wojny w Zatoce Perskiej w 1991 r. wycofujące się wojska irackie podpaliły ok. 600 kuwejckich szybów naftowych. Jak wspominał później amerykański dowódca Norman Schwarzkopf, „Irakijczycy próbowali zamienić Kuwejt w morze ognia i dymu". Doprowadziło to do największego w historii skażenia środowiska w wyniku działań wojennych i ograniczenia produkcji ropy w regionie na wiele miesięcy.

Czwarty mechanizm to konflikty wewnętrzne w państwach bogatych w czarne złoto. Przykładem jest Nigeria – od końca lat 90. w delcie Nigru uzbrojone milicje walczą o udział w dochodach z wydobycia. Piąty mechanizm dotyczy rywalizacji o regiony potencjalnie bogate w surowce. Widać to m.in. w starciach na Morzu Południowochińskim między Chinami, Wietnamem, Filipinami i kilkoma innymi państwami. Obszar ten jest terenem intensywnej eksploatacji surowców energetycznych.

Szósty mechanizm łączący wojnę z ropą dotyczy „ubezpieczania dostępu" do surowca. Zanim do tego wrócimy, zastanówmy się, co właściwie rządzi działaniami ludzi i państw?

## Nie zawsze chodzi o ropę

Lewicowa intelektualistka Naomi Klein pisze w książce „Doktryna szoku", że „przemysł naftowy i gazowy (...) zasługuje na to, aby uznać go za honorowego członka kompleksu katastroficznego kapitalizmu". W jej ujęciu powiązania z politykami ułatwiają koncernom wykorzystywanie wojen i kryzysów do pomnażania zysków.

Problem z wyjaśnieniem Klein jest taki, że wiele interwencji USA trudno powiązać z surowcami. Ropa nie tłumaczy lądowania aliantów w Normandii ani kampanii filipińskiej gen. Douglasa MacArthura w czasie II wojny światowej. Nie miała ona też nic wspólnego z mostem powietrznym do Berlina czy wojną w Korei. To samo dotyczy wielu innych amerykańskich interwencji: w Wietnamie, Laosie, Kambodży, Grenadzie, Panamie, Libanie, Haiti, Bośni, Afganistanie...

Za każdym z tych konfliktów stały inne motywacje i cele. Lądowanie aliantów w Normandii było elementem otwarcia zachodniego frontu przeciw III Rzeszy, a wojna w Korei – częścią strategii powstrzymywania komunistycznej ekspansji w Azji Wschodniej. Operacja w Panamie w 1989 r. miała na celu obalenie gen. Manuela Noriegi, którego USA oskarżały o handel narkotykami i dążenie do nacjonalizacji Kanału Panamskiego. Interes narodowy nie zawsze sprowadzał się więc do kwestii kontroli nad surowcami. „Klasyczne perspektywy geopolityczne dotyczące wojen o zasoby kształtują i odzwierciedlają dominujące polityki geostrategiczne i światopoglądy" – pisze Philippe Le Billon, badacz na Uniwersytecie Kolumbii Brytyjskiej. Jego zdaniem sektor surowcowy odgrywa rolę w konfliktach zbrojnych, ale patrzenie na wojnę wyłącznie przez pryzmat walki o zasoby jest nadmiernym uproszczeniem, ignorującym złożony kontekst historyczny i kulturowy.

## Siła opowieści

Kontekstualne narracje czynią świat bardziej zrozumiałym. Opowieści te mogą, lecz nie muszą być prawdziwe. Małe narracje na temat jakiegoś wydarzenia niekiedy urastają do wielkich, jeśli łączą się z innymi, podobnymi opowieściami i uzyskują legitymację dzięki osobom, które je rozprzestrzeniają: politykom, akademikom, celebrytom. Niektóre narracje mają taką siłę, że motywują ludzi do radykalnych i lekkomyślnych działań.

Ta przekonująca teza znalazła swoje rozwinięcie w książce „Narrative Economics" prof. Roberta Shillera, laureata Nagrody Nobla z ekonomii. „[Narracje] są zaraźliwe, sugerują ludziom scenariusze, które powinni realizować i umacniają się w wyniku ich zainteresowania. W ten sposób wywierają ogromny wpływ na społeczeństwo i gospodarkę" – pisze ekonomista. Na przykład w latach 20. XX w. w Stanach Zjednoczonych krążyły opowieści o obywatelach, którzy dzięki spekulacji giełdowej w krótkim czasie stali się milionerami. Powtarzane w gazetach i rozmowach historie o „nagłych fortunach" wzmacniały przekonanie, że każdy może łatwo zarobić na akcjach. To z kolei pompowało bańkę spekulacyjną, która poprzedziła wielki kryzys. Shiller przywołuje też analizę Johna Maynarda Keynesa, który już w 1919 r. ostrzegał, że traktat wersalski doprowadzi do pojawienia się w niemieckim społeczeństwie narracji o upokorzeniu i konieczności zemsty mogącej stać się zarzewiem kolejnego konfliktu. Z kolei przed wybuchem I wojny w Europie szerzyła się narracja o tym, że państwo, które uderzy pierwsze, zyska decydującą przewagę. Przekonanie to było zachętą do rozpoczęcia wojny prewencyjnej.

Ropa jest kluczowym elementem łatwych narracji. Jej złoża są nierównomiernie rozłożone, więc państwa muszą walczyć o kontrolę nad nimi. W łatwe narracje o czarnym złocie wierzą nie tylko zwykli ludzie (np. Rosjanie w sondach ulicznych mówią, że wrogość Zachodu wynika z zazdrości o ich surowce), lecz także politycy. Gdyby prezydent Jimmy Carter nie wierzył w strategiczną wartość ropy, nie ogłosiłby w 1980 r. doktryny, zgodnie z którą „każda próba przejęcia kontroli nad

Jak zauważa prof. Steven Pinker w książce „Zmierzch przemocy", przez większą część historii wojna była zwyczajnym i podstawowym narzędziem polityki

eprasa.pl 420f22528a

regionem Zatoki Perskiej przez siły zewnętrzne będzie traktowana jako atak na żywotne interesy Stanów Zjednoczonych". Zadziałał tu mechanizm nr 6 wskazany przez Colgana – od tego momentu obecność militarna USA w Zatoce Perskiej stała się trwałym elementem architektury bezpieczeństwa regionu, a kolejne kryzysy – od wojny iracko-irańskiej po interwencję w Iraku – rozgrywały się w cieniu globalnej rywalizacji o stabilność dostaw ropy.

Posiadanie złóż czy innych surowców naturalnych nie jest pozytywnie skorelowane z rozwojem gospodarczym i dobrobytem obywateli. Badania m.in. Jeffreya Sachsa i Andrew Warnera pokazują wręcz negatywny związek między wysokim udziałem eksportu surowców a tempem wzrostu PKB. Z badań wynika, że dochody z ropy czy gazu podnoszą poziom dobrobytu jedynie w krajach, które mają instytucje przyjazne producentom; w systemach o instytucjach przyjaznych rentierom prowadzą do pogorszenia sytuacji materialnej ludności i wzrostu przemocy.

## Unde bellum

Gdy wybucha kolejny konflikt, pokusa znalezienia prostego uzasadnienia jest silna: jeśli nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o ropę. Problem w tym, że wyjaśnienie to bywa niepełne.

Ropa – jako źródło bogactwa i strategiczny zasób – może przyczyniać się do konfliktów. Ale nie wynika z tego, że stanowi ona uniwersalny klucz do zrozumienia wojen. Dużo częściej jest tylko jednym z elementów większej układanki interesów, idei, ambicji, lęków…

Jak zauważa prof. Steven Pinker w książce „Zmierzch przemocy", przez większą część historii wojna była zwyczajnym i podstawowym narzędziem polityki. A wręcz jej istotą. Bardziej systematycznie ujął to Kenneth Waltz w książce „Man, the State, and War", który źródeł wojny szukał jednocześnie w naturze ludzkiej, wewnętrznej strukturze państw oraz w anarchicznej strukturze systemu międzynarodowego. Ropa w tej perspektywie nie znika, ale przestaje być wystarczającym wyjaśnieniem. Wojna nie jest prostym skutkiem spisku koncernów ani nieuchronną konsekwencją nierównego dostępu do surowców. Jest przedłużeniem dynamiki stosunków między jednostkami.

Już Thomas Hobbes pisał w „Lewiatanie", że w ludzką naturę wpisane są trzy przyczyny konfliktu: rywalizacja, nieufność i żądza sławy. W życiu codziennym konkurujemy o pieniądze, prestiż, partnerów seksualnych. W większości przypadków pokojowo – ale nie zawsze. Ta dynamika nie znika na poziomie państw. Politycy, którzy nimi zarządzają, mają te same namiętności jak inni. A nawet silniejsze. Tak jak niektóre jednostki są spokojniejsze, a inne bardziej agresywne, tak jedne państwa wdają się w wojny częściej niż inne. I tak jak w przypadku jednostek charakter jest wypadkową genów i wychowania, tak w przypadku państw ich „skłonności" są wypadkową m. in. historii oraz struktury społecznej. Czasem faktycznie chodzi także o ropę, ale prawie nigdy tylko o nią.

Nie istnieje pewny sposób na zapobieganie wojnom. Jednak próba zrozumienia ich źródeł daje przynajmniej nadzieję, że spirala konfliktu częściej będzie we właściwym momencie przerywana. ©℗

Autor jest wiceprezesem
Warsaw Enterprise Institute

### Historia zatacza koło

*Czytaj też*

Współczesna konfrontacja gospodarcza Waszyngtonu z Pekinem to echo paniki XIX-wiecznego Londynu wobec ekspansji Niemiec czy też podejmowanych przez Napoleona prób wyniszczenia Anglii przez odcięcie jej od rynków europejskich. Z kolei chińska strategia „Made in China 2025", plan transformacji chińskiego przemysłu z taniej produkcji w zaawansowaną technologicznie potęgę, jest cyfrową reinkarnacją francuskiego colbertyzmu (nacjonalizm gospodarczy) oraz pruskiego sojuszu „żelaza i żyta" z czasów Bismarcka, gdy lobby rolniczo-przemysłowe wymusiło ograniczenie konkurencji.

Na edgp.gazetaprawna.pl • „Jak wraca ancien régime", DGP nr 25 z 6 lutego 2026 r.

Więcej niż gazeta! Skanuj kod! DGP.pl

REKLAMA

eprasa.pl 420f22528a

# Definitywny kres rewolucji

**Modżtaba Chamenei, nowy Najwyższy Przywódca Iranu, to zagadka. Jedyne, co nie ulega wątpliwości, to fakt, że najprawdopodobniej spróbuje zabetonować obecny układ sił w Iranie na kolejne lata**

*Mariusz*

## Janik

Obyś umarł, Modżtaba – skandowali siedemnaście lat temu demonstranci, którzy na ulice irańskich miast wyszli po zmanipulowaniu wyborów prezydenckich, w których o reelekcję walczył przedstawiciel ultrakonserwatystów Mahmud Ahmadineżad oraz kandydat reformatorsko nastawionej frakcji Mir-Hosejn Musawi. Reżim niezwłocznie poszczuł demonstrantów basidżami – jedną z formacji Korpusu Strażników Rewolucji, zwykle używaną do rozpraszania zamieszek, swoistym irańskim ZOMO. Rozkazy miał wydać Modżtaba Chamenei.

Dziś Chamenei junior może być jeszcze bardziej wściekły niż przed laty. Wraz z jego ojcem w bunkrze w kompleksie Rahbara (Najwyższego Przywódcy) w Teheranie zginąć mieli żona i jeden z synów Modżtaby, a także jedna z sióstr wraz z rodziną. On sam miał zostać ranny. – Irańczycy zademonstrowali opór, wybierając syna Chameneiego – skwitował w rozmowie z CNBC Michael Herzog, były ambasador Izraela w USA. – Wybrali kontynuację, a ten facet będzie prawdopodobnie łaknąć zemsty – dodał. Zadowolony nie jest też Donald Trump. – Nie wierzę, żeby chciał żyć w pokoju – komentował decyzję teherańskiego establishmentu.

Z tymi opiniami zgadzają się zwykli Irańczycy. – Nie ma już najmniejszej szansy na zmianę w tym systemie. Oni nawet nie muszą zmieniać haseł skandowanych na cześć przywódcy – mówił BBC anonimowy trzydziestolatek z Teheranu. – On będzie nawet bardziej opresyjny niż ojciec – sekundowała mu pewna dwudziestolatka. – Mam nadzieję, że jego życie dobiegnie końca w czasie tej wojny, w innym przypadku to nas czeka śmierć – mówiła. – Jeśli nie zemści się na USA, zabierze się za nas, zwykłych ludzi – tłumaczył inny rozmówca BBC.

Jak widać, rodacy nie spodziewają się po nowym przywódcy niczego dobrego. Biorąc pod uwagę jego enigmatyczność, może się to wydawać zaskakujące. Ale też żaden z przecieków ani żadna z plotek, jakie przez lata krążyły na jego temat, nie uzasadniają optymizmu.

## (Nie)daleko pada jabłko

„Mój ojciec był dobrze znanym duchownym, który był bardzo religijny i miał w sobie coś z pustelnika. Prowadziliśmy trudne życie. Pamiętam, że czasami nie mieliśmy nic, co moglibyśmy zjeść na obiad czy kolację. Moja matka próbowała coś wyskrobać – i jedliśmy chleb z garścią rodzynków" – pisał przed laty ajatollah Ali Chamenei na swojej witrynie internetowej, wspominając ojca i dziadka Modżtaby. „Dom mego ojca – ten, w którym się urodziłem i mieszkałem do czwartego czy piątego roku życia, było to sześćdziesięcio-, siedemdziesięciometrowe mieszkanie w biednej dzielnicy Maszhadu. Miał jeden pokój i ponurą piwnicę" – opisywał.

Do tej piwnicy odsyłano dzieci, gdy do sejjeda Dżawada Chameneiego przychodzili wierni w poszukiwaniu religijnych oraz życiowych rad. Ale za pewną popularnością uczonego nie szły datki. – Rodzina żyła dzięki pieniądzom, które dostawała od matki sejjeda, a dzieci chodziły w ubraniach uszytych ze znoszonych szat Dżawada – wspomina John Murphy, autor niewielkiej biografii Alego Chamenei. Mogły się tylko pocieszać, że ich rodzina może wywodzić swoje korzenie od pierwszych przywódców szyizmu.

Znawcy Iranu twierdzą, że przyszły Najwyższy Przywódca przez całe życie zachował coś z surowej atmosfery rodzinnego domu. Nic nie wiadomo o tym, by miał opływać w luksusy ani by zapewniał je dzieciom: trójce chłopców – z których Modżtaba Chamenei był drugim – oraz dwóm dziewczynkom. Wyjąwszy wybranego właśnie Rahbara, reszta rodzeństwa nie robi zresztą kariery: wiadomo jedynie, że najstarszy z synów, Mostafa, studiował przed laty na uczelni w Kom, mieście uchodzącym za matecznik irańskich duchownych, i uzyskał tam tytuł ajatollaha. Najmłodszy z braci, Masud, miał się przewinąć przez kancelarię Rahbara, ale jedynie jako pracownik administracyjny.

Urodzony dwa lata po Mostafie, w 1969 r., Modżtaba Chamenei chodził pierwotnie do zwykłych szkół. Siłą rzeczy Rewolucję Islamską i obalanie reżimu szacha oglądał oczami dziesięciolatka, więc ani nie brał udziału w wydarzeniach, ani też wiele z nich nie pamięta. Nieco lepiej może pamiętać agresję Saddama Husajna na Iran w 1980 r. i ośmioletnią wojnę, którą stoczono w jej wyniku: w jej schyłkowej fazie, jako nastolatek, miał zaciągnąć się do basidżów. Wówczas była to dziecięca formacja stworzona w chwili, gdy wymęczeni rewolucyjnym chaosem i terrorem Irańczycy cofali się pod ciosami armii Saddama. Basidże byli mięsem armatnim – tymi dziećmi, którym wręczano plastikowe kluczyki, mające otwierać bramy raju, i wysyłano na pola minowe. Czy Modżtaba doświadczył tego osobiście, czy raczej – wpływowy już – ojciec zadbał o wysłanie go na jakiś relatywnie bezpieczny odcinek frontu, nie wiadomo.

Plakat z podobizną obecnego Najwyższego Przywódcy Iranu Modżtaby Chameneiego

Według oficjalnych biogramów Chamenei-junior po powrocie z frontu podjął studia teologiczne – najpierw w Kom, potem w Teheranie i znowu w Kom. Nieoficjalnie można usłyszeć, że w latach 90. studiowanie nie było jego priorytetem, dlatego też religijna edukacja miała się przeciągnąć. Co dokładnie wówczas robił, znowuż – nie wiadomo. Ale dla jego ojca była to dekada o wyjątkowym znaczeniu: Ali Chamenei piastował stanowisko prezydenta republiki w latach 1981–1989 i niemal natychmiast przeskoczył jeszcze wyżej. Został wybrany na następcę ajatollaha Chomejniego i to mimo tego, że był duchownym raczej średniej rangi, pospiesznie wyniesionym do tytułu ajatollaha na potrzeby tego awansu.

Awansu, do którego doszło zresztą w dosyć tajemniczych okolicznościach – umierający Rahbar Chomejni miał niemal na łożu śmierci wskazać swojego sukcesora w pozostawionym rodzinie i współpracownikom liście. Tyle że ulica szeptała – i do dziś teza ta powraca w poważnych analizach – iż Chamenei został nowym Rahbarem za sprawą intrygi syna Chomejniego, Ahmada, oraz jednego z kluczowych rozgrywających w republikańskiej polityce Alego Haszemiego Rafsandżaniego (prezydenta w latach 1989–1997, pełniącego potem najrozmaitsze funkcje w aparacie republiki). Ta dwójka doprowadziła do wyboru Chameneiego – postrzeganego jako słaby gracz – by swobodnie rządzić zza jego pleców.

Lata 90. stały się zatem dla klanu Chamenei okresem krytycznym. W tej dekadzie Ali Chamenei wybił się na niezależność, w czym niewątpliwie pomógł mu kolejny zbieg okoliczności – w marcu 1995 r. Ahmad Chomejni doznał nagłego zatrzymania krążenia krwi. Osamotniony Rafsandżani zdołał jedynie dokończyć swoją drugą prezydencką kadencję i jego wpływy w rewolucyjnych kręgach zaczęły się kurczyć,

eprasa.pl 420f22528a

FOT. MORTEZA NIKOUBAZL/NURPHOTO VIA GETTY IMAGES

choć nieraz jeszcze miał w politycznym bagnie Republiki zamieszać. Ale nowy Najwyższy Przywódca wiedział już, że aby wybić się na niezależność, musi otoczyć się własnymi ludźmi.

## Strategiczna funkcja odźwiernego

„Jednym z głównych wyczynów Alego Chameneiego była biurokratyczna przebudowa Biura Najwyższego Przywódcy" – twierdzi Mehdi Chaladżi, autor najobszerniejszej jak dotąd (prawda, że nie było ich zbyt wiele) biografii zabitego przez Izraelczyków i Amerykanów Rahbara, „The Regent of Allah". „Bez wątpienia bardzo na tym zyskał. Ale też biuro, znane jako Dom Przywódcy (Bajt-e Rahbar), stało się tajemniczym zakątkiem irańskiej polityki, z nielicznymi informacjami na temat tego, kto nim właściwie kieruje. Od 2005 r. spekuluje się, że taką osobą jest Modżtaba, drugi syn Chameneiego, który miał też zbudować własną sieć wpływów w wywiadzie i formacji basidżów" – dorzuca.

Jednocześnie Chaladżi zastrzega, że pojawienie się w biurze Modżtaby nie wpłynęło na zmarginalizowanie innych czołowych doradców Rahbara. Przez wiele lat zresztą przyjmowano, że Ali Chamenei – poprzez swoich współpracowników – balansuje między konserwatystami a reformatorami (z przechyłem na stronę tych pierwszych), czemu kraj m.in. zawdzięcza polityczną huśtawkę, w ramach której po prezydenturze reprezentanta jednych następuje prezydentura przedstawiciela drugich itd. Podobnie bywało z łagodzeniem lub zaostrzaniem kursu w polityce zagranicznej lub wewnętrznej, np. w sprawach obyczajowych.

Rok 2005 wydaje się datą nieprzypadkową. Wtedy prezydentem Iranu został Mahmud Ahmadineżad, przedstawiciel frakcji konserwatywnej w jej ekstremalnym wydaniu. Patronem tego środowiska – w skład którego zalicza się dziś również Modżtabę Chameneiego – był Mahmud-Taqi Mesbah-Jazdi, ajatollah, który wbrew kruchej posturze i nieobecnemu spojrzeniu, był „jastrzębiem środowiska jastrzębi". „Musimy pozbyć się tego wstydliwego przekonania, że przemoc nie powinna mieć miejsca w islamie" – przekonywał przez lata zwolenników. „Jesteśmy zdecydowani dowieść, że przemoc jest w samym sercu islamu" – dorzucał.

Mesbah-Jazdi wydawał fatwy (oparte na wywodzie religijnym orzeczenia – red.) uprawniające do zabijania irańskich dysydentów na całym świecie, przekonywał, że Republika Islamska nie powinna się opierać na wyborach i referendach, bo legitymacji do piastowania władzy dostarcza sam Allah, zapowiadał nawrócenie na szyicką wersję islamu Ameryki i Azji. O Ahmadineżadzie mówił, że jego zwycięstwo umożliwiła Opatrzność, gdyż „życzliwie spogląda na niego sam Mahdi" (ostatni szyicki imam, na którego powrót „z ukrycia" oczekują wierni).

Być może Modżtaba był łącznikiem ojca z tym środowiskiem, być może był wtyczką tego środowiska w Domu Przywódcy – a może jedno i drugie. Zarówno eksperci, jak i zwykli Irańczycy są skłonni przypuszczać, że od 20 lat stopniowo budował on swoją pozycję z myślą o przejęciu funkcji ojca. Z tym miało się wiązać większe zainteresowanie Chameneiego juniora studiami religijnymi, z osiągnięciem pozycji popularnego wykładowcy prawa islamskiego włącznie. Ale też budowanie krok po kroku sieci znajomości i zależności, najpierw wśród zwolenników zmarłego w 2021 r. Jazdiego, równolegle w formacjach paramilitarnych i polityce. Już w 2009 r. – podczas oprotestowanej przez Irańczyków reelekcji Ahmadineżada – Modżtaba miał kierować działaniami basidżów, co oznaczałoby, że jest w stanie omijać w tym zakresie formalne struktury Korpusu Strażników Rewolucji.

Od tamtej pory wszystkie represje, jakie spadały na uczestników demonstracji – aż po niedawne protesty kobiet czy przedsiębiorców – były przypisywane ciężkiej ręce Chameneiego juniora. Miał on też w 2012 r. złożyć wizytę rywalowi Ahmadineżada z czasów batalii o reelekcję Mir-Hosejnowi Musawiemu, namawiając go do porzucenia uparcie podtrzymywanego protestu przeciw wynikom wyborów z 2009 r. Niektórzy politycy frakcji reformatorskiej, którzy wylądowali w więzieniu, twierdzą, że zawdzięczają surowe wyroki osobistym naciskom juniora. Ale wszystko to pogłoski.

Działanie w cieniu pozwoliło mu też stworzyć własne finansowe imperium. O ile Ali Chamenei i spora część weteranów rewolucji prawdopodobnie hołduje pewnym formom powściągliwości i surowości, o tyle „książęta" – pokolenie ich dzieci – folguje sobie na całego. Modżtaba zaś robił to dyskretniej. Przypisuje mu się posiadanie lub zarządzanie sporą połacią irańskiego sektora bankowego, tworzenie pajęczyny spółek offshore w rajach podatkowych, mniejszy lub większy udział w przedsięwzięciach biznesowych firmowanych przez Korpus Strażników Rewolucji, posiadanie własnego kondominium pod postacią rozsianych po całym świecie nieruchomości. Śledztwo reporterów Bloomberga zaprowadziło ich m.in. do Londynu, Niemiec i Dubaju, a londyńska prasa dorzuciła, że zakupione na słupa londyńskie apartamenty Chameneiego są zlokalizowane przy tej samej ulicy, co ambasada Izraela. Przypisywane mu aktywa i on sam kilkakrotnie trafiali na czarną listę Departamentu Skarbu USA. Ile z krążących w ten sposób pieniędzy należy osobiście do niego, a ile np. do Strażników Rewolucji, trudno powiedzieć. Ale w przypadku kwot sięgających kilku miliardów dolarów nawet skromny kawałek tortu będzie oznaczał olbrzymi majątek.

## Już tylko epitafium?

Zadziwiające, ale gdy kilkanaście lat temu Chamenei junior po raz pierwszy odcisnął swój ślad w irańskiej polityce, wielu nie postawiłoby na niego złamanego grosza. „Po tych wyborach [w 2009 r. – red.] wielu wskazywało na Modżtabę jako głównego gracza, któremu Ahmadineżad zawdzięcza reelekcję, po części ze względu na ambicję przejęcia sukcesji po ojcu. Jeśli to prawda, przynajmniej jeśli chodzi o te ambicje, Modżtabę czeka duże rozczarowanie. Junior nie ma ani żadnej religijnej wiarygodności (jego ojciec też nie miał, ale przynajmniej cieszył się pewnym szacunkiem duchownych kolegów), ani politycznej przenikliwości, pozwalającej wymanewrować persony takie jak Rafsandżani, czy choćby inni gracze, zwłaszcza z konserwatywnej frakcji" – analizował w książce „Demokracja ajatollahów" Hooman Majd, irański reportażysta, który w kilku pracach barwnie sportretował świat ajatollahów.

Paradoksalnie powyższy cytat może świadczyć jedynie o tym, że autor bardzo serio podchodził do pryncypiów rewolucji islamskiej. Szyici od wieków toczyli teoretyczny dyskurs, w którym rządom opresyjnych monarchów przeciwstawiano władzę niekwestionowanych autorytetów moralnych, doskonale obeznanych z prawem i działających za zgodą, w imieniu i na rzecz wiernych. Problem polegał na przyjęciu akceptowalnej dla wszystkich uczestników tej dyskusji definicji takiego welajat-e faghih (Najwyższego Przywódcy czy właściwie: Najwyższego Prawnika). I oczywiście, usytuowaniu go w rzeczywistej strukturze państwa. Nawet projekt konstytucji, jaki Chomejni i jego doradcy przywieźli na początku 1979 r. do ojczyzny – w chwili, kiedy szach wraz z rodziną już uciekli z kraju – nie zawierał jeszcze wzmianki o takim urzędzie.

W końcu znalazł się w niej następujący artykuł (5): „W okresie nieobecności Dwunastego Imama (Niech Bóg przyspieszy Jego pojawienie) w Republice Muzułmańskiej Iranu przywództwo świeckie i Imamat wspólnoty wiernych spoczywa na sprawiedliwym prawniku, osobowości charyzmatycznej, świadomej epoki, odważnej, przywódczej, z inicjatywą (...)". Jego uzupełnieniem jest art. 107: „Kiedy prawnik muzułmański spełnia warunki określone w art. 5 Konstytucji, jest zaakceptowany i rozpoznany przez zdecydowaną większość narodu jako zwierzchnik i lider, staje się przywódcą, takim jak w przypadku wyboru religijnego autorytetu i Wodza Rewolucji, Wielkiego Ajatollaha Al-Ozmy Imama Chomejniego. Przywódca ma prawo kierować państwem, a wszystkie obowiązki wynikają z tego prawa" (cyt. za książką „Iran. Państwo i prawo" Małgorzaty Stolarczyk).

Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że twórcy tych zapisów opisali Chomejniego i jego nieformalną ówczesną pozycję w Iranie. Kierując się tymi kryteriami, już w 1989 r. znalazłoby się kilku znacznie bardziej pasujących do tego opisu duchownych niż Ali Chamenei. Tym bardziej nie pasuje do niego Modżtaba Chamenei – który nie ma praktycznie żadnego tytułu w hierarchii duchownej (owszem, od kilku tygodni w mediach zaczął być tytułowany ajatollahem, być może zresztą decyzja o przyznaniu mu tego tytułu została antydatowana, by uniknąć kontrowersji), nigdy nie prowadził modłów, nie ma wspólnoty naśladowców czy zwolenników, jak realne autorytety religijne w kraju, nie został ani razu wybrany na jakiekolwiek stanowisko, a źródłem jego dotychczasowej władzy miało być kontrolowanie dostępu do ucha ojca. Ba, stacja BBC przypomniała wypowiedź anonimowego irańskiego polityka sprzed kilku lat, który twierdził, że ajatollah Ali Chamenei nie był zwolennikiem przekazania sukcesji synowi. Prawda to czy nie, Chamenei senior o swoim następcy wspominał zawsze tylko w ogólnikach. Do niedawna uważano też, że poważnym pretendentem do tego stanowiska będzie Ebrahim Raisi – prezydent, który zginął w 2024 r. w katastrofie helikoptera.

Innymi słowy, wraz z wyborem Modżtaby Chameneiego na sukcesora jego ojca runął jeden z kluczowych – o ile nie najważniejszy – aksjomatów Republiki Islamskiej. Do pewnego stopnia było to do przewidzenia, tym bardziej że charyzmatycznych przywódców, którzy cieszyliby się jakimkolwiek większym poparciem rodaków – czy to w kręgach duchowieństwa, czy jego adwersarzy – jest dziś w Iranie tylu, co kot napłakał. A lada chwila może się okazać, że będzie ich jeszcze mniej, gdyż Izrael zapowiedział, że zapoluje na kolejnego Najwyższego Przywódcę, który nie będzie mu w smak. Podobne deklaracje, choć w łagodniejszej formie, padły w Białym Domu. Może się zatem okazać, że kilka dni lub tygodni rozważania o autorytecie Modżtaby Chameneiego będzie można uzupełnić jedynie o epitafium. ©℗

Więcej niż gazeta! Skanuj kod! DGP.pl

eprasa.pl 420f22528a

# Sztuczna inteligencja w krainie kangurów

**Profesor Marek Kowalkiewicz, kierujący Katedrą Gospodarki Cyfrowej w Queensland University of Technology Business School, opowiada o aktualnych trendach w Australii, a także o wydarzeniach związanych z AI ważnych w skali świata**

**Na ile wykorzystanie sztucznej inteligencji uznaje się w Australii za obszar wymagający uważnej regulacji? Przypomnę, że Australia jest światowym prekursorem, jeśli chodzi o uregulowanie dostępu dzieci i młodzieży do mediów społecznościowych.**

To bardzo ciekawy temat. Rząd australijski na bieżąco analizuje ryzyka nowych technologii. Unia Europejska ma bardzo holistyczne podejście, jeżeli chodzi o regulacje związane ze sztuczną inteligencją. W Australii wygląda to nieco luźniej. Już w 2019 r. zostały wydane pierwsze zasady etyki dotyczące AI. W 2024 r. pojawiła się tzw. tymczasowa odpowiedź rządu australijskiego na sztuczną inteligencję. Natomiast w grudniu 2025 r. – Narodowy Plan Sztucznej Inteligencji. Niemniej jednak zapisano w nim wprost, że nie jest celem rządu wprowadzanie holistycznych uregulowań. Przejrzane zostaną poszczególne obszary, w których już istnieją regulacje, aby stwierdzić, czy uzupełnić je o mikroregulacje dotyczące sztucznej inteligencji.

**Jaki jest poziom wykorzystania sztucznej inteligencji w świecie biznesu i przez instytucje publiczne?**

Jeżeli chodzi o obszar publiczny, rząd krajowy, federalny, rządy lokalne i stanowe dużo robią, a mało mówią. Praktycznie każdy pracownik rządowy

FOT. MAT. PRASOWE

w Australii ma już w tej chwili dostęp do modeli językowych. Nie mówi się o tym dużo, ponieważ systemy sztucznej inteligencji budzą konsternację w społeczeństwie. W związku z tym są budowane i wdrażane w taki sposób, żeby wspomagały decyzje, a nie automatyzowały.

Jeżeli chodzi o biznes, mamy pełen przekrój. Są firmy, które w pełni wykorzystują możliwości sztucznej inteligencji, jak również takie, które nie wdrożyły nawet podstaw.

**Napisał pan książkę „The Economy of Algorithms – AI and the Rise of the Digital Minions", tytuł polskiego wydania to „Sterowani algorytmami. Nie pytaj, czy AI rządzi biznesem, pytaj, jak bardzo". Zapytam więc: jak bardzo rządzi?**

Bardzo, bardzo, bardzo. Kto zostanie przy sterach, AI czy my, to wciąż zależy od nas, ale musimy sobie bardzo jasno powiedzieć: to nie od biznesu, nie ode mnie jako przedsiębiorcy, klienta, uczestnika procesów gospodarczych, zależy czy sztuczna inteligencja będzie rządziła biznesem. To już się dzieje. Firmy, które decydują się trzymać z daleka od AI, często nie zdają sobie sprawy, że ich klienci już z niej korzystają, więc nie da się przed tym uciec. Każdy przedsiębiorca może sobie zadać pytanie: co nowego umożliwiają mi nowe technologie związane ze sztuczną inteligencją? Co staje się możliwe, co było niemożliwe jeszcze wczoraj?

**W ostatnim tygodniu lutego tąpnęły na giełdzie notowania akcji IBM, potem odrabiały straty, sytuacja była dynamiczna. Chodził o obawy, że AI zastąpi konsultantów zajmujących się językiem COBOL, co jest istotne dla biznesu firmy. Czy wiele nas czeka podobnych emocjonujących wydarzeń?**

Będzie ich bardzo wiele. To tąpnięcie, największe od 25 lat, było ciekawym zdarzeniem. Kiedy bowiem firma Anthropic pokazała te możliwości systemu Claude Code, nie prezentowała nowej funkcjonalności wdrożonej tydzień temu. Ona istniała już od kilku miesięcy, teraz została przedstawiona.

IBM i systemy COBOL to było podejście, które nazywamy „fosą konkurencyjną". IBM zbudował fosę wokół swoich systemów, aby bardzo trudno było przenieść je czy też dane z nich do systemów konku-

# Czy Polska może być technologicznie suwerenna?

FOT. MAT. PRASOWE

**Piotr Mieczkowski, dyrektor zarządzający Fundacji Digital Poland, przekonuje, że choć wyścig o konsumenckie AI zdominowały USA i Chiny, Polska i Europa wciąż mają szansę na prymat w sektorach przemysłu, medycyny czy obronności.**

**Czy Polska jest w stanie być państwem niezależnym i suwerennym, jeśli chodzi o technologie cyfrowe?**

Lepiej mówić o suwerenności technologicznej, ponieważ w tym temacie mieszczą się też kwestie półprzewodników i pamięci, które w ostatnim czasie mocno podrożały. Moim zdaniem w pewnych, bardzo wąskich obszarach w Polsce możemy pozwolić sobie na suwerenność technologiczną, przykładem może być komunikacja wewnątrzrządowa. W szerszym zakresie musimy brać pod uwagę pozycję Unii Europejskiej. Obecnie żaden kraj członkowski, nawet największe gospodarki, takie jak Francja czy Niemcy, nie są w stanie osiągnąć pełnej suwerenności technologicznej. Musimy stawiać na wspólne projekty; przykładem może być europejskie konsorcjum Digital Commons EDIC (ang. European Digital Infrastructure Consortium), które pracuje m.in. nad wspólnym pakietem biurowym, również z Polską jako obserwatorem.

**Z jakimi kosztami wiążą się takie przedsięwzięcia?**

Rząd Stanów Zjednoczonych, który chce ściągnąć z Tajwanu fabryki półprzewodników do swojego kraju, wydaje na ten cel dziesiątki miliardów dolarów każdego roku. Podobne działania wdraża Europa, która przyjęła niedawno EU Chips Act. Również pochłonie on wiele miliardów euro, ale nie jest to powód do obaw, bo mamy w Europie nadwyżki kapitałowe. Problem polega na tym, że nadwyżki te eksportujemy do USA, na czym korzystają podmioty amerykańskie. Musimy budować wielomiliardowe europejskie konsorcja z perspektywą 10–15 lat. Udało się to chociażby w Chinach – dzięki projektowi „Made in China 2025", Państwo Środka w ciągu 20 lat uzyskało 20-proc. udział w globalnym rynku półprzewodników. Odpowiedzią Europy musi być skierowanie zamówień publicznych na nasz wewnętrzny rynek. Rozumie to Komisja Europejska, która w tym roku wydała Industrial Accelerator Act (IAA), dzięki czemu zamówienia publiczne będą częściej kierowane do europejskich, lokalnych dostawców. Taka strategia ma sens.

**Czy Polska bezpowrotnie straciła szansę, by być liderem rozwoju sztucznej inteligencji? Czy możemy w tym zakresie odegrać znaczącą rolę w Europie?**

Mamy taką szansę. Mamy swoje modele językowe, takie jak Bielik, rząd pracuje nad swoim modelem PLLuM. Bielik jest w stanie osiągnąć podobne wyniki jak największe modele chińskie czy amerykańskie. Kluczem jest jednak moc obliczeniowa, a tą nie dys-

CYFROWA GOSPODARKA
PARTNERZY PROJEKTU: KDPW Microsoft orange TOTALIZATOR SPORTOWY

eprasa.pl 420f22528a

rencji. Fosą był język COBOL, trudny do zrozumienia. Po tym, co zobaczyliśmy w ostatnim tygodniu, okazało się, że ta fosa to zwykły kanał, z którego bardzo łatwo wyssać wodę, korzystając ze sztucznej inteligencji.

Podobne fosy mają takie firmy jak SAP, Oracle itd. Dla mnie to ekscytujące, dlatego że oznacza, iż pewne firmy informatyczne będą musiały znaleźć nowe obszary przewagi konkurencyjnej, zastanawiać się, jak budować lepsze systemy, a nie jak chronić je przed wyciągnięciem danych i przeniesieniem do innych.

**W jednym z ostatnich podcastów „The Economy of Algorithms" mówił pan, że Moltbook jest jak Facebook, ale dla botów. Opowiadał pan o tym, że agenci AI mają teraz własne sieci społecznościowe, w pewnym sensie sklepy z aplikacjami, platformy rekrutacyjne. Czy to jest zwiastun czegoś jeszcze większego?**

Moltbook (po zakończeniu rozmowy pojawiła się informacja o jego przejęciu przez Metę – red.) to taka sieć społecznościowa, ale dla agentów sztucznej inteligencji, dla botów. Jest systemem, na którym mogą zalogować się boty. W ciągu pierwszych dwóch tygodni znalazło się ich w niej ponad 2,5 mln. Teraz jest ich więcej. One wszystkie wymieniają wiadomości, tworzą nowe wątki dyskusyjne. Być może trochę udają, że komunikują się ze sobą, są w końcu tylko algorytmami, ale Moltbook jest bardzo ciekawym przykładem pokazującym, jak agenci sztucznej inteligencji, np. boty, które reprezentują ludzi czy przedsiębiorstwa, potrafią wejść na platformę, w zasadzie stronę internetową i dzielić się informacjami, podejmować wspólnie decyzje. To pokazuje, że w przyszłości będą platformy, na których takie boty będą dyskutować, umawiać nas na spotkania, negocjować ceny w wielostronnych negocjacjach, czy może szybko rekonfigurować łańcuchy dostaw, gdy któryś z prezydentów zdecyduje się wprowadzić nowe taryfy celne.

Rozmawiał: Jacek Pochłopień

ponujemy w wystarczającym stopniu. Zagraniczne platformy, z których wszyscy korzystamy, takie jak: Claude, Gemini czy ChatGPT, wygrywają konkurencję dzięki temu, że z punktu widzenia konsumenta moc obliczeniowa jest darmowa. Ich bezpłatne wersje są w stanie robić imponujące rzeczy, ale niestety europejskie firmy nie dysponują tak dużym kapitałem, by móc zaoferować użytkownikom podobne rozwiązanie. Amerykanie po prostu subsydiują produkt i wykaszają konkurencję, by potem podnieść cenę. Od 2022 r. sztuczna inteligencja kojarzy się nam przede wszystkim z generatywną AI, ale pamiętajmy, że dotyczy to przede wszystkim uczenia maszynowego czy głębokiego uczenia, czego przykładem może być pomoc w wykrywaniu nowotworów czy automatyka przemysłowa. O ile można powiedzieć, że przegraliśmy wyścig o AI w zakresie B2C, o tyle w dalszym ciągu są obszary, w których to Europa może być liderem. Mamy dane chronione – z sektora przemysłu, służby zdrowia, energetyki. Wdrażając rozwiązania oparte na sztucznej inteligencji w tych gałęziach gospodarki, możemy budować naszą przewagę.

**Gdzie w tym wszystkim może się odnaleźć Polska?**

Każdy kraj może mieć swoją niszę. Możemy wykorzystać ogromny program zbrojeń, by stworzyć polskie oprogramowania do dronów. Już teraz zajmują się tym polskie start-upy, które mają ku temu odpowiednie doświadczenie i fachowców.

Rozmawiał Szymon Glonek, not. MP

# Jak dobrze zna nas AI

**Kilka lajków wystarczy, by algorytmy bezbłędnie określiły naszą inteligencję, poglądy, a nawet ukryte preferencje. Profesor Michał Kosiński ze Stanford University ostrzega, że nowoczesne modele językowe nie tylko nas analizują, lecz także potrafią dopasować przekaz tak, by skutecznie wpływać na nasze decyzje wyborcze i konsumenckie.**

**Czy algorytmy sztucznej inteligencji mogą stanowić zagrożenie dla naszej prywatności?**

W mojej pracy naukowej chcę pokazać groźny potencjał modeli AI tworzonych przez big techy. Już 15 lat temu wykazaliśmy, że modele stworzone przez Facebooka, ale także przez innych gigantów cyfrowych, na podstawie zaledwie kilku lajków, opublikowanych komentarzy czy lokalizacji, są w stanie określić nasz wiek, płeć, inteligencję czy poglądy polityczne. Te dane są wykorzystywane, by poprawić nasze doświadczenie w korzystaniu z ich portali. Ma to swoją zaletę, bo łączy nas z ludźmi podobnymi do nas, ale jest też niebezpieczne, ponieważ możemy się uzależnić od aplikacji. Korzystając z tych informacji, firmy mogą też pokazywać nam specjalnie dopasowane reklamy, co jest skuteczniejsze od reklam w telewizji czy prasie. Diametralnie zmieniło to marketing.

**A w jaki sposób zmieniło to zachowania konsumentów?**

Marketing czy propaganda to potężne narzędzia oddziaływania na ludzi. Poprawienie skuteczności narzędzia o 5–10 proc. w przypadku konkurencji rynkowej czy politycznej może zadecydować o sukcesie. Dla przykładu, wybory prezydenckie zazwyczaj wygrywa się małą różnicą głosów, więc zwiększenie skuteczności działań marketingowych przy tym samym budżecie daje znaczącą przewagę. Przykładem takiego efektu są wygrane wyborcze Donalda Trumpa w Stanach Zjednoczonych. Modele językowe są kontynuacją tej technologii. ChatGPT czy Gemini rozpoznaje naszą osobowość i preferencje, dzięki czemu z każdym z nas rozmawia nieco inaczej, dostosowuje się do tego, co chcemy usłyszeć.

**Czy można powiedzieć, że sztuczna inteligencja zajmuje się już psychometrią?**

Tak, inżynierowie tworzący aplikacje czy modele językowe starają się dopasować swój produkt do naszych cech osobowości w taki sposób, bo korzystanie z niego było dla nas jak najprzyjemniejsze. Tego też oczekujemy od prawdziwych osób – chcemy, by znali nas na tyle, żeby mogli nam doradzić, polecić nam film czy książkę.

FOT. PAVEL BECKER/ MAT. PRASOWE

Wszystkie technologie wiążą się z możliwościami i ryzykami. Sztuczna inteligencja może nas edukować, mamy dzięki niej błyskawiczny dostęp do porad, jakich wcześniej mogli nam udzielić tylko lekarze czy prawnicy. Dostęp do wiedzy i postępu się zdemokratyzował, bo korzystają z niego wszyscy, niezależnie od statusu społecznego. Jednak ten doradca jest pod kontrolą wielkich firm technologicznych, a te z kolei – pod kontrolą rządów, które sterują ich rozwojem. Nowością jest to, że sam robot staje się podmiotem, ma swoje preferencje i uprzedzenia, które nie do końca rozumiemy i nie jesteśmy w stanie kontrolować. Choć stworzyliśmy technologię, przestajemy ją rozumieć.

**Jakie największe zagrożenie się z tym wiąże?**

Korzystamy z modeli sztucznej inteligencji, które pracują szybciej, taniej i lepiej od nas. Naukowcy zdołali stworzyć cyfrową siatkę neuronową z ilością wewnętrznych połączeń na poziomie mózgu małej ryby, znacznie mniejszego niż ludzki. Tymczasem ten mały mózg jest w stanie wytrenować się w zawrotnym tempie, uczy się na podstawie interakcji z użytkownikami i w kilka tygodni jest on w stanie wielokrotnie prześcignąć człowieka, któremu proces nauki zajmuje nawet do 30 lat. Jednocześnie przewaga AI polega na tym, że człowiek oddziałuje zazwyczaj na swoje najbliższe otoczenie, a modele językowe na miliardy ludzi. Jest to piękne, ale i groźne, że po raz pierwszy w historii naszego gatunku mamy do czynienia z inteligencją inną niż nasza własna, taką, która nas przewyższa.

**Czy obszar ten wymaga uregulowania?**

Bez wątpienia. Temat ten podejmują już politycy. Problem polega na tym, że zawsze regulacje są za postępem, co widzimy na przykładach, takich jak: prawo pracy, ochrona środowiska czy bezpieczeństwo. To opóźnienie było szczególnie wyraźnie widoczne przy rozwoju internetu. Tymczasem modele językowe rozwijają się 10–12 razy szybciej niż pierwsze technologie językowe, a nasze organy regulacyjne działają powolnie, bo są kierowane przez pokolenie ludzi, którzy sami dorośli w epoce analogowej. To niekoniecznie musi być złe – często władze przed uregulowaniem danego obszaru chcą go obserwować, by go lepiej poznać. Jednak w tym przypadku mamy do czynienia z technologią, która rozwija się błyskawicznie i jest w stanie zmienić oblicze gospodarki, każdego aspektu życia prywatnego czy publicznego. Big techy mają pomysł, jak to zrobić: proponują mianowicie, by regulowaniem sztucznej inteligencji zajęła się sztuczna inteligencja. To z kolei każe postawić pytanie, kto będzie regulował sztuczną inteligencję, która miałaby regulować sztuczną inteligencję.

Rozmawiała Patrycja Otto not. MP

wenet
zaiks sprzyjamy wyobraźni
ROZMOWY I DEBATY MOŻNA OBEJRZEĆ NA
CYFROWA-GOSPODARKA.GAZETAPRAWNA.PL

eprasa.pl 420f22528a

PROMOCJA

CYFROWA GOSPODARKA

Piątek, 13 marca

CYFROWY RYNEK KAPITAŁOWY – SZYBKOŚĆ, TRANSPARENTNOŚĆ, ZAUFANIE

ROZMOWA 1:1
**Rafał Wawrzyniak,**
dyrektor zarządzający ds. Technologii, CTO KDPW
**Jak technologia wspiera konkurencyjność polskiego rynku kapitałowego?**

ROZMOWA 1:1
**dr hab. Lech Kurkliński prof. SGH,**
wicedyrektor Instytutu Finansów Korporacji i Inwestycji
**Rynek kapitałowy a cyfrowa transformacja**

ROZMOWA 1:1
**Waldemar Markiewicz,**
Prezes Izby Domów Maklerskich
**Przyszłość rynku kapitałowego**

ROZMOWA 1:1
**Przemysław Kuna,**
prezes, Urząd Komunikacji Elektronicznej
**Fundamenty cyfrowej gospodarki**

godz. 14.00

ZAPRASZAMY DO OGLĄDANIA

Szczegółowy program

PARTNERZY:

KDPW | Microsoft | orange | TOTALIZATOR SPORTOWY | wenet | zaiks sprzyjamy wyobraźni

# Przyjaciele na wojnie

**Konflikt w Iranie wywołuje coraz większe napięcia między USA a Izraelem. Trump sygnalizuje, że może wkrótce zakończyć operację, Netanjahu deklaruje, że nie wycofa się, dopóki reżim ajatollahów nie zostanie całkowicie zniszczony**

*Karolina*

## Wójcicka

„Najlepszy przyjaciel, jakiego kiedykolwiek miał Izrael" – zwykł mawiać o Donaldzie Trumpie Binjamin Netanjahu. Trudno się dziwić. Już w pierwszej kadencji Trump obdarował Izrael wieloma politycznymi prezentami. Przeniósł ambasadę Stanów Zjednoczonych z Tel Awiwu do będącej przedmiotem sporu między Izraelczykami a Palestyńczykami Jerozolimy. Uznał roszczenia państwa żydowskiego do kontroli nad okupowanymi Wzgórzami Golan. Zerwał porozumienie nuklearne z Iranem. A był to jedynie przedsmak tego, co nastąpiło po powrocie Trumpa do Białego Domu w styczniu 2025 r.

Półtora miesiąca później Netanjahu naruszył warunki zawieszenia broni i wznowił działania wojenne w Strefie Gazy. Trump, który wcześniej zapowiadał zakończenie konfliktów zbrojnych trawiących świat, przez długi czas biernie się przyglądał. Nawet gdy w toczących się bez wyraźnego celu walkach ginęły tysiące Palestyńczyków, a niektóre części eksklawy pogrążały się w klęsce głodu.

Dopiero we wrześniu 2025 r., po podjętej z inicjatywy Netanjahu nieudanej próbie zamachu na przywództwo Hamasu w Dosze, Trump uznał, że sytuacja zaszła za daleko i zaczął naciskać na partnera, by zaakceptował porozumienie o rozejmie i uwolnieniu zakładników.

## Trump traci, Bibi zyskuje

W czerwcu 2025 r. Stany Zjednoczone przyłączyły się do izraelskiego ataku na Iran, wysyłając bombowce oraz bomby zdolne do niszczenia bunkrów. Trump zdecydował się na ten krok, mimo że jeszcze kilka tygodni wcześniej liczył na to, że spór dotyczący programu nuklearnego Teheranu uda się rozwiązać na drodze dyplomatycznej. Rozpoczęta 28 lutego nowa odsłona konfliktu wiąże się dla niego z większym ryzykiem, biorąc pod uwagę niezadowolenie w dużej części elektoratu MAGA.

Deklarowany w czasie kampanii sprzeciw wobec interwencji wojskowych był jednym z głównych atutów Trumpa w oczach wyborców. Polityka zagraniczna pod szyldem „America First" miała stawiać na pierwszym miejscu dobrobyt i bezpieczeństwo obywateli, a nie interesy mieszkańców krajów na drugim końcu świata. Dlatego dziś wielu Amerykanów nie rozumie, dlaczego Stany Zjednoczone wikłają się w kolejny konflikt na Bliskim Wschodzie. Według sondażu NPR/PBS News/Marist Poll z początku marca 56 proc. respondentów sprzeciwia się działaniom militarnym USA przeciwko Iranowi, a 44 proc. je popiera. Nie wróży to dobrze republikanom przed listopadowymi wyborami do Kongresu.

Zupełnie inaczej wygląda sytuacja w Izraelu. W pierwszym tygodniu wojny badania pokazywały, że ponad 90 proc. żydowskich obywateli popiera atak na Iran, a ponad 60 proc. pozytywnie ocenia sposób, w jaki Bibi prowadzi operację. Netanjahu traktuje konflikt z arcywrogiem jako okazję do wzmocnienia swojej pozycji przed zaplanowanymi na jesień wyborami parlamentarnymi. Na razie wzrost poparcia dla Likudu odbywa się głównie kosztem jego koalicjantów. Według ekspertów wyborczych – m.in. Dahlii Scheindlin – nie można wykluczyć, że wieloletni premier utrzyma się u władzy.

## Mistrz manipulacji

Kontrast między sytuacją w Stanach Zjednoczonych i Izraelu oraz brak wyraźnych korzyści z wojny po stronie lokatora Białego Domu wywołują pytania o to, kto tak naprawdę pociąga za sznurki w duecie Trump–Netanjahu. Jeszcze niedawno prezydent USA powtarzał, że woli porozumieć się z Iranem niż iść na wojnę. Zaniepokojony możliwością dyplomatycznego rozwiązania

eprasa.pl 420f22528a

Netanjahu siedmiokrotnie składał wizyty w Mar-a-Lago i Białym Domu, by przekonać partnera do swoich racji.

Decydujące okazały się spotkania w Waszyngtonie na przełomie roku. Jak informuje „The Washington Post", Netanjahu dał wówczas jasno do zrozumienia, że wkrótce zamierza wziąć na celownik program rozwoju rakiet balistycznych Teheranu. Przekonywał, że Izrael będzie gotów zaatakować Iran zarówno razem z USA, jak i bez, ale zależało mu na zielonym świetle Białego Domu. Trump doszedł do wniosku, że skoro atak jest nieunikniony, to najlepszym rozwiązaniem będzie wsparcie sojusznika, aby zwiększyć szanse powodzenia kampanii.

Pośrednio potwierdził to sekretarz stanu Marco Rubio. – Wiedzieliśmy, że Izrael przeprowadzi operację. Wiedzieliśmy też, że sprowokuje to atak na amerykańskie siły. (...) Uznaliśmy, że jeśli nie uderzymy prewencyjnie, nasze straty będą większe – powiedział Rubio. Gdy jeden z dziennikarzy spytał, czy to plany Izraela zmusiły USA do ataku, sekretarz stanu odpowiedział, że nie. Trump dodał później: „To ja mogłem zmusić ich do działania".

Zwolennicy MAGA coraz bardziej postrzegają Netanjahu jako mistrza manipulacji, który opanował sztukę nakłaniania Waszyngtonu do realizowania swoich celów. Popularny na skrajnej prawicy komentator Tucker Carlson powiedział, że Trump pozwolił wciągnąć Stany Zjednoczone w „wojnę Izraela".

W państwie żydowskim wielu odrzuca taką narrację. – Izrael to kraj 10 mln ludzi, mamy wystarczająco dużo własnych spraw na głowie. Nie naciskamy na Stany Zjednoczone – mówi mi Miri Eisin, emerytowana pułkowniczka Sił Obronnych Izraela (IDF) i szefowa Instytutu ds. Przeciwdziałania Terroryzmowi (Institute for Counter-Terrorism). Jednocześnie podkreśla, że oba państwa mają „wspólne cele i zadania". – Nie chodziło o to, że Izrael działał na własną rękę. Obie strony zgadzały się co do wyzwań militarnych oraz zagrożenia ze strony reżimu terrorystycznego – dodaje Eisin.

## Wenezuela 2.0 czy destrukcja

W rzeczywistości oba państwa nie porozumiały się nawet w kwestii planów i taktyki wojennej. Pierwszy z brzegu przykład: w środę Donald Trump stwierdził, że konflikt zakończy się „wkrótce", bo „praktycznie nie ma już nic do zbombardowania". Doradcy sugerowali mu przygotowanie strategii wyjścia. Minister obrony Izraela Jisra'el Kac zajął inne stanowisko. – Operacja będzie trwała bez żadnych czasowych ograniczeń, dopóki nie osiągniemy wszystkich celów i nie zwyciężymy w tej kampanii – powiedział na naradzie z szefem sztabu gen. Eyalem Zamirem.

Napięcia między USA i Izraelem pojawiają się niemal od początku wojny. Trump liczył w Iranie na szybką operację podobną do akcji, która doprowadziła do odsunięcia od władzy przywódcy Wenezueli Nicolása Madura i zastąpienia go pełniącą funkcję wiceprezydentki Delcy Rodríguez. Zadowoliłby go scenariusz, w którym część elity reżimu w Teheranie idzie na współpracę ze Stanami Zjednoczonymi i otwiera amerykańskim koncernom dostęp do tamtejszej ropy. Wbrew nadziejom niektórych Irańczyków przywódca MAGA nie wyraził zainteresowania wprowadzaniem w ich kraju demokracji ani wspieraniem emigracyjnych opozycjonistów, takich jak były książę Reza Pahlavi. Jak sam przyznał, wyłonienie nowego lidera spośród członków systemu „mogłoby być bardziej odpowiednie".

Plany Izraela wykraczają daleko poza usunięcie najwyższego przywódcy Iranu. Jego celem jest całkowite rozmontowanie reżimu. Siły Obronne Izraela na platformie X ostrzegły, że będą ścigać każdego następcę zabitego pierwszego dnia wojny Alego Chameneiego.

Sytuacja po ewentualnym upadku ajatollahów dużo mniej interesuje Tel Awiw. „Jeżeli uda nam się doprowadzić do przewrotu – świetnie. Jeżeli ludzie wyjdą na ulice – świetnie. Jeżeli wybuchnie wojna domowa – świetnie. Izraelowi nie zależy ani na przyszłości, ani na stabilności Iranu" – tak stanowisko rządu podsumował Danny Citrinowicz, jeden z najważniejszych izraelskich ekspertów ds. polityki bliskowschodniej. Z perspektywy Waszyngtonu chaos w Iranie byłby dla Zatoki Perskiej katastrofą, która zapewne na długo uwikłałaby Stany Zjednoczone w regionie – scenariusz, którego Trump obiecywał uniknąć.

Nie można więc wykluczyć, że amerykański przywódca wkrótce zdecyduje się zakończyć wojnę. Ogłaszając zwycięstwo, mógłby się pochwalić m.in. osłabieniem zdolności nuklearnych i zniszczeniem programu rakietowego Iranu, a także zdziesiątkowaniem jego kierownictwa cywilnego i wojskowego. Według takiej narracji Białego Domu Teheran przestałby stanowić zagrożenie dla regionu.

Izraelowi z pewnością nie spodoba się takie rozwiązanie, ale Trump może nakłonić Bibiego do zakończenia działań wojennych – tak jak np. we wrześniu 2025 r., gdy zmusił partnera do poparcia swojego planu pokojowego dla Gazy. Ale nie można wykluczyć, że za jakiś czas Netanjahu znowu pojawi się w Białym Domu, by przekonywać, że Iran jest o krok od zdobycia broni jądrowej. ©℗

Spotkanie prezydenta USA Donalda Trumpa i premiera Izraela Binjamina Netanjahu. Mar-a-Lago, 29 grudnia 2025 r.

FOT. JOE RAEDLE/GETTY IMAGES

eprasa.pl 420f22528a

# Kraj

# Naprawić błędy Wazów

**Szwecja, Polska i Ukraina mogą wspólnie wzmacniać zdrowe trendy w polityce zarówno amerykańskiej, jak i unijnej. To jednak wizja tyleż kusząca, ile arcytrudna do realizacji**

*Witold*

## Sokała

Pogłębioną współpracę Polski ze Szwecją, a także z pozostałymi państwami nordyckimi, eksperci od dawna postulowali jako uzupełnienie lub bardziej racjonalną alternatywę dla integracji wyszehradzkiej. Niestety, politycy „wiedzieli lepiej" (a przynajmniej tak im się wydawało), zwłaszcza do czasu, gdy jawna agresja rosyjska przeciwko Ukrainie spowodowała otrzeźwienie – zresztą po obu stronach Bałtyku.

Wizyta szwedzkiej pary królewskiej w naszym kraju, z bezprecedensowo znacznym udziałem prominentnych przedstawicieli rządu i biznesu, bez wątpienia stanowi dobry i znaczący krok w kierunku budowy ściślejszych więzów obu państw i narodów. Tym bardziej że przyspieszają także analogiczne procesy w relacjach Polski z Finlandią, Norwegią i Danią, a równolegle wciąż postępuje strategiczna integracja nordycka. Nasi przyjaciele zza Bałtyku coraz mocniej angażują się też w kooperację z tzw. Bukareszteńską Dziewiątką (formatem wewnątrz NATO zrzeszającym państwa wschodniej flanki paktu północnoatlantyckiego), de facto rekompensując osłabiające B9 postawy takich państw jak Węgry czy Słowacja.

Równocześnie mamy jednak do czynienia z dylematami, które tej współpracy mogą zagrozić mimo oczywistej wspólnoty interesów. Choćby niepewność co do dalszej polityki USA oraz Unii Europejskiej, a także przyszłej roli Ukrainy w tym układzie. Być może nadszedł więc czas, by uciekać do przodu – przynajmniej koncepcyjnie.

## Grzechy wielkich

Z jednej strony mamy ostry zwrot Waszyngtonu ku strategicznej nieprzewidywalności, przejawiający się nie tylko skrajnym egoizmem (to w sumie nic nowego), lecz także traktowaniem Europy jako względnie łatwego żerowiska dla amerykańskiego biznesu, którym jednak w razie potrzeby lub kaprysu można podzielić się z Rosjanami.

Owszem, niekwestionowana potęga USA łagodzi niekiedy skutki wyraźnej niekompetencji Donalda Trumpa i jego ekipy dla samych Amerykanów, utrudniając im właściwą ocenę długofalowych strat i wyciąganie racjonalnych wniosków, ale dla państw europejskich oznacza to pilną konieczność przebudzenia i rozbudowy narzędzi do samodzielnej ochrony swoich interesów. Niekoniecznie całkowicie wbrew Stanom Zjednoczonym, ale przynajmniej poprzez stosowne korygowanie ich polityki. Różnica skali sprawia przy tym, że nawet Niemcy, Francuzi czy Brytyjczycy nie są w stanie się pokusić o to samodzielnie. Aby namówić Amerykanów do ponownego odkrycia uroków gier o sumie niezerowej, niezbędna jest synergia wielu mniejszych podmiotów.

Niestety, jednocześnie w Unii Europejskiej mamy wciąż ogromny problem z uzgadnianiem minimum wspólnych interesów, ze skłonnością do topienia skądinąd słusznych konceptów rozwojowych w oceanie czczej gadaniny i biurokratycznych procedur, z deficytem sprawczości zewnętrznej, ze słabościami wewnętrznymi kluczowych państw Starego Kontynentu, które niebawem mogą im wybuchnąć w twarz (a przy okazji ich sąsiadom i partnerom). I z utrzymującą się trudnością ze zrozumieniem fundamentów dawnych błędów, które Europę w ten kanał wpuściły.

Jednym z symbolicznych przykładów kumulacji tych problemów jest sprawa energetyki jądrowej. Przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen raczyła wreszcie przyznać, że rezygnacja (na szczęście niecałkowita, mimo wieloletniej niemieckiej presji) z wykorzystania potencjału atomu była błędem. Nie zająknęła się jednak ani słowem o winnych. Nie wspomniała też nic o tle wieloletniej antyatomowej histerii. Czyżby nie zdawała sobie sprawy, że w kampanie na rzecz likwidacji niemieckich elektrowni jądrowych była zaangażowana obca agentura, a w blokowanie ich powstania m.in. w Polsce – przeróżne instytucje Republiki Federalnej Niemiec? Tymczasem obecny kanclerz Friedrich Merz oświadczył, że niestety powrotu do atomu w RFN i tak nie ma, a była szefowa berlińskiego rządu Angela Merkel została uhonorowana Europejskim Orderem Zasługi – za wybitny wkład w promowanie wartości UE. Dobrze, że przynajmniej nie odznaczono przy okazji Gerharda Schroedera. Może dlatego, że on już wcześniej i w inny sposób, dzięki tłustej synekurze u Rosjan, odebrał swoją nagrodę za katastrofalną politykę energetyczną (i nie tylko), oddającą UE i jej wschodnich sąsiadów na łaskę Władimira Putina.

## Pierwsze kroki

Dobre samopoczucie sprawców naszych kłopotów może niepokoić, gdyż źle rokuje na przyszłość. Próby dalszego pogłębiania współpracy bałtyckiej są w tej sytuacji postulatem dość oczywistym, bo może ona dać wszystkim zainteresowanym większą siłę przebicia w Europie, zwiększając przy okazji odporność całej Unii i NATO na ewentualne kolejne błędy i wypaczenia. Także te związane z chęcią powrotu do business as usual z Rosją, czyli do fundowania kremlowskim agresorom sznura, na którym zamierzają kiedyś powiesić nas wszystkich.

Bardziej spójny i solidarny blok bałtycki to także szansa bardziej asertywnej polityki wobec USA. Skandynawski pragmatyzm jest tu bardzo cenny, daje nadzieję na znalezienie złotego środka między pozornie sprzecznymi elementami, czyli np. na zbalansowanie kierunków inwestycji w nasz potencjał wojskowy między własną produkcją tam, gdzie jest to możliwe i celowe, a zakupami u Amerykanów (ale wedle naszych preferencji, nie pod polityczne dyktando).

Problem w tym, że nawet razem wciąż jesteśmy pod pewnymi względami zbyt słabi, by uzyskać pożądane efekty. I dlatego potrzebujemy w tej układance Ukrainy. A ona potrzebuje nas.

W ten kierunek myślenia wpisuje się niedawny apel Jewhena Magdy, znanego ukraińskiego politologa i publicysty, który zaproponował koncepcję prometeizmu 2.0. Ta nieco prowokacyjna nazwa nawiązuje do polskiej akcji wspierania przed II wojną światową (także przez ofensywne działania wywiadu) odśrodkowych ruchów narodowościowych w ówczesnym ZSRR. Przynajmniej na razie pomysł Magdy nie znalazł silniejszego oddźwięku w Polsce – a szkoda. Jego sens nie polega bowiem ani na kosztownym i ryzykownym pakowaniu nas w awantury na Wschodzie, ani na jednoczeniu obu państw. Chodzi o uwzględniającą także Litwę pragmatyczną współpracę zwiększającą wspólną odporność, zwalniającą pewne zasoby do innych celów, a przez to czyniącą cały region silniejszym i bezpieczniejszym.

Magda postuluje m.in. kształtowanie antyimperialnych narracji w przestrzeni bałtycko-czarnomorskiej, w tym wspólne działania przeciwko dezinformacji i ope-

eprasa.pl 420f22528a

FOT. FREDRIK SANDBERG/TT NEWSAGENCY/FORUM

Konferencja prezydenta Ukrainy i premiera Szwecji po podpisaniu listu intencyjnego w sprawie kupna myśliwców JAS Gripen. 22 października 2025 r.

racjom wpływu destabilizującym naszą politykę, a także solidarną politykę historyczną stopniowo eliminującą nadużywanie trudnej przeszłości do współczesnych celów dywersyjnych (nie tylko przez Moskwę, także przez Berlin, a potencjalnie również przez Waszyngton). Jednym z narzędzi miałaby być współpraca ekspercka, rozbrajająca liczne bomby, zanim postanowią je zdetonować rodzimi populiści lub zewnętrzni agenci, a przynajmniej osłabiająca siłę tych eksplozji.

Poza sferą soft ukraiński politolog odnosi się także do hard – używając metafory „stalowego jeża Europy", snuje wizję regionu silnie uzbrojonego i zaawansowanego technologicznie, w tym w zakresie zdolności dronowych, o poważnym i suwerennym potencjale odstraszania, ale w razie potrzeby mogącego sobie także pozwolić na usługowe wobec zewnętrznych partnerów działania poza własnym obszarem. Kolejne postulaty obejmują m.in. wspólne zwiększanie bezpieczeństwa energetycznego przez rozbudowę infrastruktury i korzystniejszą dywersyfikację dostaw przy wykorzystaniu efektu skali, a przede wszystkim współdziałanie w powojennej odbudowie Ukrainy, co uznaje się za ważny impuls dla trwałego zintegrowania logistycznego i ekonomicznego naszego regionu. Do tego: ofensywne i skonsolidowane działania w krajach globalnego Południa, zwłaszcza w obszarze bezpieczeństwa żywnościowego. Polska i Ukraina mogłyby razem budować swoje wpływy, zamiast konkurować w sektorze rolno-spożywczym na rynkach własnych i unijnych. I wreszcie: wspólne i wielopłaszczyznowe wsparcie dla procesów narodotwórczych i prodemokratycznych w Mołdawii i na Białorusi.

## Cel na dekady

Szwedzkie (czy szerzej: nordyckie) pieniądze, zdolności przemysłowe i polityczne oraz niebagatelne know-how w znaczący sposób wzmocniłyby szanse powodzenia takiego projektu. Ponadto jego poszerzenie o państwa bardzo różne cywilizacyjnie i kulturowo zapewne stanowiłoby pewną komplikację. Rozwiązaniem dylematu może być rozciągnięcie zadań w czasie (mimo świadomości, że mamy go bardzo mało) przy jednoczesnej presji na wszelkie działania sprzyjające efektowi konwergencji: wymianę młodzieży, działaczy lokalnych, naukowców, dziennikarzy i artystów, rozbudowę platform zdalnych, ale także robocze formaty dla ekspertów, wojskowych, policjantów i szpiegów.

Dla partnerów nordyckich możliwość mocniejszego i uprzywilejowanego wejścia biznesowego i strategicznego na rynek polski i ukraiński może być całkiem atrakcyjna. Z punktu widzenia Polski i Ukrainy eliminacja problemów bilateralnych plus synergia w działaniach zewnętrznych także jest kuszącą nagrodą. Dla Litwinów, Łotyszy i Estończyków powstanie takiego solidarnego bloku, w dodatku z ambicją wzięcia udziału w grze o Białoruś po spodziewanym prędzej czy później upadku reżimu Łukaszenki, to oczywiste zwiększenie ich własnego bezpieczeństwa, podmiotowości oraz siły oddziaływania na odleglejsze centra polityczne. Wreszcie nawet dla USA pojawia się korzyść w postaci szczelnego i pewnego zablokowania lądowych połączeń między Chinami a Europą Zachodnią, co jest szczególnie ważne, gdyby ta postanowiła jednak za bardzo iść na współpracę z Państwem Środka. To z kolei pozwala liczyć, że ta czy następna administracja amerykańska, zamiast obrażać się albo cynicznie stawiać na politykę dziel i rządź w naszym regionie, jednak zdecyduje się wspierać swoim potencjałem państwa, które przecież wcale nie chcą być antyamerykańskie, jeśli nie zostaną do tego zmuszone przez okoliczności. A furtki, które dziś otwiera Trump w relacjach z Mińskiem, mogą się w pewnych scenariuszach okazać całkiem przydatne.

Są też rafy i bariery. Po pierwsze, problemy instytucjonalne związane z tym, że Ukraina raczej nieprędko (o ile w ogóle) wejdzie do NATO, nie wiadomo kiedy i na jakich warunkach do Unii. Poza UE docelowo pozostaną też prawdopodobnie niektórzy inni uczestnicy układu (takie jak Norwegia, a potencjalnie także Białoruś). Wszystko jest jednak kwestią elastyczności, a ta będzie warunkowana dobrą wolą – naszą i naszych zewnętrznych partnerów. W przypadku tych drugich trzeba po prostu mieć w zanadrzu zestaw marchewek do zaoferowania i kijów do postraszenia opornych. Także o to łatwiej nam będzie negocjując razem, niż osobno.

Po drugie, trudno pominąć niechęć znacznej części opinii publicznej i klasy politycznej praktycznie we wszystkich zainteresowanych państwach. Bazującą częściowo na mniej czy bardziej uzasadnionych obawach o utratę dóbr i przywilejów na rzecz onych, a częściowo prowokowaną i wzmacnianą przez zewnętrzne siły obawiające się powstania proponowanego bloku – to znów Moskwa, ale przecież nie tylko.

Ta niechęć jest zauważalna choćby w Polsce, gdzie w modzie jest już nie wyciąganie otwartej ręki do Ukraińców, ale grożenie im pięścią. I to nie tylko wśród zwolenników opcji prorosyjskiej, nie tylko w elektoracie prawicowo-nacjonalistycznym. Niestety, umiarkowana (teoretycznie) prawica postanowiła właśnie wysunąć na czoło Przemysława Czarnka, chodzący symbol psucia relacji polsko-ukraińskich. Zapatrzone w sondaże opinii, słupki wyborcze i mgliste perspektywy koalicyjne polityczne centrum też postanowiło przyjąć takie narracje, przy okazji je nobilitując. Zawrócić z tego paskudnego kursu nie będzie łatwo, ale warto do tego namawiać zarówno PiS, jak i KO, w imię niewątpliwych zysków długofalowych.

## Lekcje z historii

Obecne pokolenia mieszkańców naszego regionu mają szansę, by nadrobić błędy z czasów poprzedników panującego dziś w Szwecji domu Bernadotte, czyli dynastii Wazów. Jej przedstawiciele z różnych brzegów Bałtyku, zamiast stworzyć imperium zdolne kształtować ówczesny świat, w XVI i XVII w. wzięli się za łby w imię osobistych ambicji oraz fobii religijnych. W rezultacie Szwecji już na początku kolejnego stulecia zabrakło potencjału demograficznego i ekonomicznego, by samodzielnie wygrać rywalizację o bałtycką hegemonię z Rosją i z jej rosnącym w siły pruskim sojusznikiem (który na konfliktach szwedzko-polskich nieźle się swoją drogą utuczył). Sztokholm wkrótce stanął w obliczu zagrożenia swoich własnych ziem, tracąc przyczółki na Pomorzu oraz Finlandię, a w końcu ulegając marginalizacji w grze europejskiej. Natomiast Korona Królestwa Polskiego i Wielkie Księstwo Litewskie po potopie szwedzkim stały się cieniem dawnej potęgi – z wiadomymi skutkami.

Niedługo później – co symboliczne – tragicznie zakończyli swe żywoty dwaj najważniejsi twórcy i promotorzy unii hadziackiej, wyjątkowego w naszych dziejach projektu strategicznego, który dawał perspektywę zwiększenia bezpieczeństwa Rzeczpospolitej, awansu politycznego i cywilizacyjnego Ukrainy oraz wspólnego odparcia Moskwy. Polski szlachcic i kozacki hetman Iwan Wyhowski, pogromca Rosjan spod Konotopu, po parodii sądu wojennego został rozstrzelany przez naszych dragonów pod fałszywym zarzutem zdrady, możliwe, że za wiedzą i zgodą króla Jana Kazimierza (Wazy, oczywiście). Z kolei Jerzego Niemirycza, Rusina wykształconego na Zachodzie, ariańskiego intelektualistę i polityka dążącego do utworzenia Wielkiego Księstwa Ruskiego jako trzeciego członu Rzeczpospolitej (a po drodze dość rozpaczliwie próbującego postawić na szwedzki patronat), zamordowali zbuntowani chłopi w Ukrainie. W obu przypadkach współcześni historycy dopatrują się rosyjskiej inspiracji (to przypomnienie dla tych, którym wydaje się, że działania asymetryczne oraz aktywność agentów Moskwy w naszym regionie to wynalazek współczesny).

Obyśmy po upływie ponad trzech stuleci wreszcie zdołali wyciągnąć z tych lekcji prawidłowe wnioski. Rzecz jasna, w zmienionych okolicznościach nie może już chodzić o budowę ani federacji polsko-ukraińskiej, ani polsko-szwedzkiej unii personalnej. Ani realne, ani pożądane nie jest też tworzenie odrębnego, sięgającego od koła podbiegunowego po Morze Czarne sojuszu militarno-ekonomiczno-politycznego jako alternatywy jednocześnie dla bloku amerykańskiego oraz zachodnioeuropejskiego. Co innego zagęszczanie sieci powiązań funkcjonalnych w naszym regionie. A także usuwanie nieporozumień – historycznych i tych współczesnych, ucieranie stanowisk w kluczowych kwestiach zewnętrznych i promowanie wzajemnej empatii na różnych poziomach.

Nie po to, by iść na zderzenie z USA albo – alternatywnie – z Unią Europejską. Raczej po to, by zarówno w Waszyngtonie, jak i w Brukseli (oraz w Berlinie, Paryżu i Londynie) nasze specyficzne interesy musiały być należycie uwzględniane. Żeby nasz wspólny głos był bardziej słyszalny, żeby nasze obawy i postulaty uwzględniano od razu, a nie dopiero wtedy, gdy mleko już dawno się rozlało. Tak przy okazji: w relacjach z Pekinem czy New Delhi też się to przyda, a wisienką na torcie będzie ostatecznie wyzerowana zdolność Moskwy do meblowania naszego regionalnego podwórka po swojemu. ©℗

eprasa.pl 420f22528a

# Nadzwyczajna operacja

**Skoro dziś w Europie jesteśmy świadkami dyskusji o tym, by EBC brał pod uwagę kwestie klimatyczne, to dlaczego NBP nie może brać pod uwagę ryzyka geopolitycznego?**

*Z Leszkiem*

## Skibą

*rozmawia* Marcin Fijołek, Polsat

**Powiedzmy, że chce pan zaciągnąć kredyt hipoteczny – ma pan uciułany wkład własny, dostał pan niezłą ofertę ze strony banku, są jak zawsze dodatkowe ubezpieczenia i wymagania – a kolega do pana dzwoni i mówi: „Mam dla ciebie ten kredyt na 0 proc., tylko muszę pokombinować z księgowym". Uwierzyłby mu pan?**

Oczywiście, że nie, ale to wbrew pozorom chybione porównanie do dyskusji nad propozycjami w ramach SAFE. Przy tego rodzaju zestawieniach nie bierzemy pod uwagę podstawowego faktu: bank centralny każdego kraju ma bardzo specyficzną rachunkowość.

**Na konferencji prasowej prezes Glapiński zarzucał takim jak ja nieprzygotowanie i braki w wykształceniu, ale zaryzykuję pytanie: co to znaczy?**

W przypadku banku centralnego w bilansie mamy dwie strony. Z jednej strony – nazwijmy ją lewą – są przede wszystkim rezerwy walutowe, głównie obligacje w dolarze i euro, ale również złoto. Wszystko przeliczone na wartości w polskim złotym, zgodnie z kursem na ostatni dzień roku. Z drugiej strony – prawej – mamy pieniądz gotówkowy w obiegu, środki banków wynikające z rezerwy obowiązkowej i operacji otwartego rynku, a także rachunki np. Ministerstwa Finansów. Dodatkowo po tej stronie są też rezerwy NBP i fundusze. Są to środki w polskim złotym, w większości pieniądz gotówkowy w kieszeni Polaków oraz pieniądz elektroniczny na rachunkach NBP banków i ministra finansów. Rozumiem, że w pańskich – i nie tylko pańskich – wątpliwościach zaszyte jest pytanie: skąd nagle mamy ponad 190 mld zł? Z rosnącej w ostatnim czasie wartości złota, co w oczywisty sposób przekłada się na jego wycenę. W takiej sytuacji, gdy rośnie wartość lewej strony bilansu, bo rośnie wartość złota w rezerwach, w bilansie musi wzrosnąć wartość prawej strony, co w przypadku złota musi oznaczać zwiększenie wartości rezerw. Prezes Glapiński ujawnił, że wartość ta wzrosła aż do 197 mld zł, a przypominam, że na koniec 2024 r. wynosiła 80 mld zł. Zakwalifikowanie do rezerwy nie oznacza, że wynika z tego zysk. Zysk jest możliwy, gdy dokonana jest prawdziwa transakcja sprzedaży, bo księgowana do zysku jest różnica między ceną kupna a ceną sprzedaży. Jeśli więc NBP nie będzie aktywnie zarządzał złotem, to te rezerwy będą rosnąć wraz ze wzrostem cen złota. Na tym właśnie polega ta nadzwyczajna propozycja: przeprowadzić transakcje na rynku złota i w ten sposób pokazać zysk NBP.

**Nadzwyczajna operacja, czyli sprzedaż złota, którego wartość wzrosła, a którego mieliśmy według prezesa Glapińskiego nie sprzedawać. Wszystko po to, by pokazać zysk w księgach NBP.**

Generalnie tak.

**Ale jeśli wartość mojego mieszkania, które wziąłem na kredyt, urosła w ciągu ostatnich kilku lat, to mogę ten zysk zobaczyć, dopiero gdy je sprzedam, czyli pozbędę się aktywów, rezerw. A prezes NBP utrzymuje, że rezerw nie ruszymy.**

Właśnie na tym polega specyficzna księgowość NBP. Rośnie lewa strona, czyli wartość dolarów, euro i złota, więc musi rosnąć też wartość prawej strony bilansu. Pytanie podstawowe jest takie: czy jest to wynik rzeczywistych transakcji sprzedaży i kupna – wtedy po prawej stronie trafia to do zysku – czy raczej mamy do czynienia ze wzrostem wyceny, który nie wiąże się z żadną transakcją – wtedy generalnie trafia do rezerwy. Gdy NBP sprzedaje złoto, otrzymuje równowartość w dolarach. Rezerwy złota zostaną uszczuplone, a wzrośnie wartość pozostałych rezerw walutowych, więc suma się nie zmienia. Później, z czasem, będzie można znów odwrócić te proporcje, ale ten zabieg stanowi podstawę do tego, by móc powiększyć ilość pieniądza w obiegu, czyli przeznaczyć te prawie 200 mld zł na zbrojenia. Bo jeśli mamy do czynienia z rzeczywistą transakcją, zysk rośnie. Zysk oznacza wypłatę pieniądza elektronicznego na konto Ministerstwa Finansów.

**I tych amerykańskich papierów nie będzie się trzeba pozbywać, żeby wykazać zysk i z niego skorzystać? Brzmi jak kreatywna księgowość i żonglerka liczbami w Excelu, żeby nikt się nie połapał.**

To żadna kreatywna księgowość. Te dolary pozostaną w rezerwach, a przez jakiś czas będzie mniej złota. Z czasem można to odwrócić, ale to podstawa do tego, by móc powiększyć ilość pieniądza w obiegu.
Trzeba sobie uświadomić, że co miesiąc minister finansów przyczynia się do powiększenia ilości pieniądza w obiegu, bo przeprowadzana jest transakcja wymiany euro z budżetu UE na środki w polskim złotym, które NBP wpłaca na rachunek MF. Wartość pieniędzy na koncie MF rośnie, bo jest to prawnie i ekonomicznie uzasadnione – albo wypłatą zysku przez NBP, albo wymianą euro na złotego.

**Na końcu tej operacji tak czy inaczej trzeba będzie dodrukować pieniądze.**

W każdym kraju ilość pieniądza w obiegu rośnie – najważniejsze, żeby było to uzasadnione rezerwami walutowymi, i to jest sedno tej operacji. Ale to nie jest proste dodrukowanie pieniądza w powszechnym rozumieniu tego określenia, bo to oznaczałoby tworzenie pustego pieniądza. Otrzymaliśmy nie tak dawno miliardy euro z Krajowego Planu Odbudowy i NBP przekazał wartość tych pieniędzy w złotych. Czy to oznacza, że Glapiński dodrukował pieniądze? Nie. Lepiej powiedzieć profesjonalnie: zwiększył bazę monetarną. Między końcem 2023 r. a końcem 2025 r. wzrost wartości pieniądza w obiegu, określanego jako agregat M0, wyniósł 160 mld zł – głównie dlatego, że NBP jest kantorem ministra finansów. Propozycja SAFE 0 proc. sprowadza się do tego, by wysokie rezerwy mogły stać się zyskiem i podstawą do wypłaty pieniędzy na rachunek rządu, a właściwie Polskiego Funduszu Inwestycji Obronnych.

**Nie wpłynie to na inflację?**

W znikomym stopniu. Znów powołam się na przykład z KPO: czy w związku z tym, że kilkadziesiąt miliardów trafiło z budżetu UE, mamy inflację? Po wejściu Polski do UE tych euro wymienionych przez NBP na złotego było bardzo dużo i nie miało to istotnego wpływu na inflację. Na koniec 2004 r. wartość rezerw walutowych wynosiła 110 mld zł, obecnie zaś 1000 mld zł. Czyli mamy wzrost o prawie 900 mld zł. Liczne operacje wymiany euro na złotego oznaczały, że NBP powiększył bazę monetarną z 66 mld zł pod koniec 2004 r. do 613 mld zł pod koniec 2025 r. Równowartość wykreowanego pieniądza M0 wyniosła więc ok. 550 mld zł.
By ograniczać wpływ tej kreacji pieniądza na inflację, NBP zajmuje się absorbowaniem tych środków z rynku poprzez operacje otwartego rynku. W skrócie: sektor finansowy lokuje te środki na rachunkach NBP w zamian za oprocentowanie.

**Zapytam inaczej. Jakim cudem NBP, który wykazywał stratę, nagle mówi: nie ma problemu, mamy prawie 200 mld zł spod palca?**

Tym cudem jest rosnąca wartość złota, które Narodowy Bank Polski sukcesywnie skupował. W sprawozdaniu finansowym za rok 2024 wycena tej rezerwy była oszacowana na 80 mld zł. Teraz jest 197 mld zł – jeśli jest to poziom z końca 2025 r., to znaczy, że w samym 2025 r. wzrost wartości rezerw, głównie za sprawą rosnącej ceny złota, wyniósł prawie 120 mld zł. Prosty rachunek pokazuje, że wartość zgromadzonych rezerw – głównie właśnie złota – wzrosła ponad dwukrotnie.

**To może trzeba jeszcze poczekać, aż urośnie do 300 albo 500 mld?**

To jest decyzja polityczna i prezes Glapiński też powiedział, że to nadzwyczajna operacja przy okazji ryzyka geopolitycznego. To nadzwyczajna operacja także w tym sensie, że jest nowa, bo do tej pory NBP nie prowadził aktywnej polityki zarządzania rezerwami złota. Przy jej realizacji musiałaby się zmienić strategia zarządzania rezerwami. Wszystko po to, by wygenerować zysk i z czasem zacząć sterylizować te pieniądze, czyli zdjąć je z rynku. Jest to kosztowne, ale sterylizacja jest kosztowna również wtedy, gdy MF dostaje nowe pieniądze za euro z budżetu UE.

**Ile kosztuje taka operacja sterylizacji pieniądza?**

Stopa główna jest dziś na poziomie 3,75 proc.

**A przy europejskim SAFE ta sama operacja też będzie musiała zostać zrealizowana?**

Tak. To ok. 3,15 proc. oprocentowania na start plus sterylizacja pieniądza, czyli tak naprawdę realny koszt NBP i rządu będzie na poziomie 7 proc. w przypadku europejskiego SAFE. Jeśli chcemy uznać sterylizację za dodatkowy koszt.

**W waszym projekcie to też nie jest wyłącznie pieniądz z NBP. Na początku to będą musiały być pożyczki z BGK, oprocentowane pewnie wyżej niż oferuje europejski SAFE.**

To będzie krótkoterminowy koszt, a pożyczka z BGK – jak zakładamy – będzie dotyczyła ok. 20 mld zł, czyli tych 15 proc. wartości europejskiego SAFE, które otrzymalibyśmy jeszcze w tym roku. To w zasadzie jedyne realne koszty naszej propozycji, prawdopodobnie zresztą i tak zostaną zniwelowane później, gdy pieniądze z operacji NBP zaczną pracować.

**Znowu zapytam o podstawy: od kiedy to wypłata zysku NBP – w takiej czy innej formule – ma być uzależniona od celu wydatkowania i powiększenia kompetencji prezydenta, co zawiera ustawa napisana przez Kancelarię Prezydenta? Premier Tusk mówi jasno: jeśli jest zysk, to proszę go wypłacić na klasycznych zasadach.**

Polityka pieniężna to odpowiedzialność banku centralnego. Rząd ani prezydent nie mogą powiedzieć niezależnemu bankowi centralnemu: daj nam pieniądze, bo ich potrzebujemy na nasze ważne cele. Bank centralny może zaś uznać, że istnieje techniczna możliwość zwiększenia zysku, jeśli mieści się to w jego mandacie. Nie z powodu wsparcia fiskalnego rządu, ale bazując na mandacie i będąc przekonanym, że trudno jest prowadzić niezależną

eprasa.pl 420f22528a

politykę pieniężną w kraju narażonym na ryzyko konfliktu militarnego. Ryzyko to prowadzi do wzrostu niepewności na polskim rynku finansowym, grozić nam mogą odpływ inwestycji i niestabilność kursu złotego wobec walut obcych. Tak rozumiem motywację NBP. Nie jest ona fiskalna, lecz wynika w pełni z mandatu banku centralnego – nakazu dbania o stabilność cen oraz wartość polskiego złotego.

**To również pytanie o zasady, bo uruchomienie takiej operacji to jest gest polityczny, a NBP powinien pozostać niezależny.**

Bank centralny jest niezależny, ale ma prawo uznawać ryzyko geopolityczne za istotne dla swojej działalności. Skoro dziś w Europie jesteśmy świadkami dyskusji o tym, by EBC brał pod uwagę kwestie klimatyczne – szczególnie w obszarze skupu aktywów – to dlaczego NBP nie może brać pod uwagę ryzyka geopolitycznego?

**Dalej mam problem z odpowiedzią na pytanie, jak to jest z tym zyskiem i czy nie powinniśmy mieć systemowych, precyzyjnie określonych momentów uruchomienia takich operacji.**

To na pewno ciekawa dyskusja, jednak warto pamiętać, że celem NBP nie jest generowanie zysku. Prezes NBP nie zajmuje się wymyślaniem sposobów, by jak najwięcej przelać do budżetu państwa.

**W jakiej perspektywie czasowej można liczyć na wypłatę tych pieniędzy z NBP? Adam Glapiński rzucił enigmatyczne „za ileś lat".**

Trudno doprecyzować ten okres. Zmiennych jest za dużo, żeby wyznaczyć precyzyjną datę.

**W europejskiej wersji SAFE wszystko jest opisane co do miesiąca.**

To jest właśnie ten wybór, przed którym stoimy. Z jednej strony mamy pożyczki, które dostaniemy w ciągu kilku lat, z niepewnością co do oprocentowania w kolejnych dekadach i z warunkami politycznymi, które nie są do końca jasne. Na drugiej szali mamy propozycję prezydenta, która opiera się na darmowym zysku – nieoprocentowanym. Ale rzeczywiście nie można deklarować, że perspektywa wypłat tych pieniędzy to na pewno trzy czy cztery lata.

**Nie mówiąc już o tym, że w tym czasie wartość złota może spaść i całą operację trafi szlag albo będzie drastycznie ograniczona finansowo.**

Żyjemy w świecie permanentnej niepewności. Mogę odwrócić pana argumenty i powiedzieć, że przy europejskim SAFE odsetki mogą skoczyć, a kurs euro wywindować tę pożyczkę na dużo wyższy procent niż te 3,15 proc. na start. A potencjalnych min jest więcej. Skoro niemieckie ministerstwo finansów nie było w tym tygodniu w stanie sprzedać obligacji z powodu słabego popytu, to ciekawe, jaki będzie sukces emisji obligacji w ramach SAFE... Zwracam na to uwagę, żeby uzmysłowić, że żyjemy w świecie, w którym nie jesteśmy w stanie przewidzieć nawet ceny ropy na kilka dni do przodu. I dlatego – przy wszystkich wątpliwościach wokół propozycji SAFE o proc., które wybrzmiały w naszej rozmowie – to w tej chwili najbardziej pragmatyczny i przewidywalny ruch. To, czy go wykonamy, zależy od rządu. ©℗

FOT. WOJTEK GÓRSKI

*Leszek*
**Skiba**
społeczny doradca prezydenta, w latach 2015–2020 wiceminister finansów, prezes zarządu Banku Pekao (2020–2024)

# Co chcemy zbudować za miliardy na armię?

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

*Piotr* **Arak**

Polska realizuje największy w historii III RP program zbrojeń. W latach 2025–2035 na obronność możemy przeznaczyć nawet 1,9 bln zł. Skala ta jest odpowiedzią na dramatyczną zmianę środowiska bezpieczeństwa w Europie po rosyjskiej agresji na Ukrainę. Jednocześnie tworzy to sytuację bez precedensu z punktu widzenia polityki gospodarczej: państwo w krótkim czasie pompuje setki miliardów złotych w jeden sektor gospodarki.

Tak szybkie zwiększanie nakładów wymaga jasnej strategii przemysłowej. Bez niej Polska może się stać przede wszystkim importerem uzbrojenia finansującym rozwój sektorów obronnych w Stanach Zjednoczonych, Korei Południowej czy Europie Zachodniej.

Struktura wydatków zbrojeniowych pokazuje skalę wyzwania. Do 2035 r. ok. 600 mld zł wydamy na zakupy sprzętu i inwestycje kapitałowe. Kolejne setki miliardów pochłoną płace, utrzymanie armii i szkolenia.

Z punktu widzenia gospodarki najważniejszy jest podział zakupów między producentów krajowych i zagranicznych. W ostatnich latach Polska podpisała wiele gigantycznych kontraktów z partnerami zagranicznymi: na czołgi Abrams i K2, haubice K9, samoloty F-35 i FA-50, systemy Patriot czy wyrzutnie HIMARS. Wartość kontraktów z samą Koreą Południową przekracza 100 mld zł.

Zakupy te są zrozumiałe z punktu widzenia bezpieczeństwa – pozwalają szybko zwiększyć zdolności bojowe. Jednak z ekonomicznego punktu widzenia oznaczają wysoką importochłonność wydatków obronnych. A to ogranicza ich wpływ na wzrost gospodarczy.

Dziś polski przemysł zbrojeniowy jest wciąż relatywnie niewielki. Skupiająca ok. 60 spółek Polska Grupa Zbrojeniowa osiągnęła w 2024 r. przychody przekraczające 13 mld zł, które w 2025 r. mogą wzrosnąć do 20 mld zł. To dużo jak na polskie warunki, ale niewiele w porównaniu z zachodnimi gigantami – niemiecki Rheinmetall ma ponad 9 mld euro przychodów, a włoski Leonardo ok. 17 mld euro. Krótko mówiąc: pod względem skali wydatków obronnych Polska zaczyna przypominać największe państwa NATO, wielkość naszego przemysłu obronnego – co najwyżej małą manufakturę.

Dlatego kluczowe znaczenie ma strategia rozwoju przemysłu obronnego, nad którą pracują Ministerstwo Aktywów Państwowych, Ministerstwo Obrony Narodowej i Ministerstwo Rozwoju. Jej głównym celem powinno być przekształcenie Polski z dużego klienta światowego rynku zbrojeniowego w ważnego producenta. Dokument miał być opublikowany do końca 2025 r. Nadal na niego czekamy.

Strategia musi się opierać na kilku filarach. Pierwszy to zwiększenie krajowego udziału w realizacji kontraktów zbrojeniowych. Nawet jeśli sprzęt jest kupowany za granicą, jego produkcja, serwis i modernizacja powinny w jak największym stopniu mieć miejsce w Polsce. Dotyczy to zarówno transferu technologii, jak i włączania rodzimych firm do globalnych łańcuchów dostaw.

Po drugie, konsolidacja i profesjonalizacja zarządzania w sektorze. Polska Grupa Zbrojeniowa jest holdingiem rozproszonym organizacyjnie i technologicznie. W wielu przypadkach spółki konkurują między sobą zamiast współpracować. Jednocześnie decyzje kadrowe wciąż zbyt często mają charakter polityczny. Trzeba też wziąć pod uwagę możliwość IPO. Transparencja i inwestorzy mniejszościowi przyczyniliby się do jej profesjonalizacji.

Po trzecie, zwiększenie inwestycji w badania i rozwój. Dziś wydatki na B+R w sektorze zbrojeniowym stanowią zaledwie ok. 0,5 proc. budżetu obronnego. W krajach, które rozwijały go z sukcesem, takich jak Izrael czy Korea Południowa, udział ten jest wielokrotnie wyższy. Bez własnych technologii Polska pozostanie głównie montownią zagranicznego sprzętu. Komponent krajowy (local content) będzie na poziomie 15 proc., tak jak dzisiaj w wielu projektach PGZ.

Po czwarte, budowa stabilnych łańcuchów dostaw. Wieloletnie kontrakty z gwarantowanymi wolumenami zamówień są warunkiem inwestycji w nowe moce produkcyjne. Bez nich krajowe zakłady nie będą podejmować ryzyka budowy nowych fabryk czy zatrudniania tysięcy specjalistów.

Jeśli polityka przemysłowa zostanie dobrze zaprojektowana, nakłady na obronę mogą się stać jednym z motorów modernizacji polskiej gospodarki. Mnożnik fiskalny wydatków zbrojeniowych wynosi od 0,5 do 1,5 w zależności od struktury wydatków.

Jeśli większość środków trafia za granicę, to rezultat dla krajowej gospodarki jest ograniczony (a przez import wręcz negatywny). Gdy wydatki wspierają krajowy przemysł, mogą wywołać silny impuls inwestycyjny i technologiczny. W przypadku Polski oznacza to potencjalnie setki tysięcy miejsc pracy nie tylko w samym przemyśle obronnym, lecz także w całym łańcuchu dostaw: w metalurgii, elektronice, IT, przemyśle chemicznym czy sektorze kosmicznym.

Historia pokazuje, że przemysł obronny bywał w wielu krajach katalizatorem rozwoju technologicznego. Tak było m.in. w Izraelu, Szwecji i Korei Południowej. Rozwijane dla wojska technologie, od elektroniki po sztuczną inteligencję, często trafiały później do gospodarki cywilnej.

Jednocześnie program zbrojeń niesie za sobą istotne ryzyka fiskalne. Nie wiadomo, jakie korzyści dla gospodarki i bezpieczeństwa mamy z niego uzyskać. Nawet obraz armii za 10 lat jest dość mglisty poza ogólnymi hasłami.

Polska stoi dziś przed historyczną decyzją. Nigdy wcześniej przez sektor obronny nie przepływało tyle pieniędzy. W ciągu dekady wydamy na armię prawie 2 bln zł. Jeśli pieniądze te zostaną dobrze wykorzystane, mogą stworzyć w naszym kraju nowy segment gospodarki, zdolny do eksportu, tworzenia innowacji i wysoko płatnych miejsc pracy. Jeśli jednak zabraknie konsekwentnej strategii przemysłowej, skończymy z nowoczesnym sprzętem wojskowym (i dużymi kosztami serwisu), ale bez silnego przemysłu, który potrafiłby go projektować i produkować. A to byłoby zmarnowanie szansy, która zdarza się raz na pokolenie. ©℗

Autor jest głównym ekonomistą VeloBanku, doktorem nauk społecznych, wykładowcą Wydziału Nauk Ekonomicznych UW

eprasa.pl 420f22528a

# Historia

## Wojna dla chętnych

**Paradoks konfliktów polega na tym, że więcej powagi i odpowiedzialności za słowa wymagamy od tych, którzy je opisują, niż od tych, którzy je wywołują**

*Sebastian*

## Pawlina

W połowie stycznia 2024 r. w położonej w zachodnim Iraku miejscowości Al-Hadisa uzbrojeni w broń snajperską oraz półautomatyczną napastnicy zabili trzech irackich żołnierzy, a jednego ranili. Choć żadna z grup terrorystycznych nie przyznała się do zamachu, o jego przeprowadzenie podejrzewano Państwo Islamskie (ISIS). Ponad 18 lat wcześniej w tym samym mieście w wyniku wybuchu bomby pułapki zginął żołnierz amerykańskiej piechoty morskiej. Jego koledzy w akcie brutalnej zemsty zamordowali 24 niewinnych Irakijczyków. Wśród nich było osiem kobiet i pięcioro dzieci. Oba te wydarzenia, choć rozdzielone niemal dwiema dekadami, mają wspólne korzenie w rozpoczętej 20 marca 2003 r. inwazji armii USA na Irak.

Pół roku wcześniej, w czwartek 12 września 2002 r., prezydent Stanów Zjednoczonych George W. Bush wygłosił półgodzinne przemówienie w Zgromadzeniu Ogólnym ONZ. Rozpoczął je od podziękowań dla narodów, które przyłączyły się do wojny USA z „globalnym terroryzmem". Mówił o konieczności walki z dyktatorami, którzy zagrażają światowemu bezpieczeństwu oraz podważają prawo człowieka do godności. Trafnie zaznaczył, że lokalne konflikty mogą wpływać na losy całej ludzkości. Mówił m.in. o relacjach izraelsko-palestyńskich, podkreślając, że Stany Zjednoczone w całości popierają prawo Palestyńczyków do posiadania własnego, niepodległego państwa oraz rządu, „który służy ich interesom i słucha ich głosu". Nie określił tylko, najpewniej w pełni świadomie, kto zdecyduje o wyborze tych władz, ale też nie to było głównym tematem spotkania.

Anthony Shadid, amerykański dziennikarz libańskiego pochodzenia, zaczynając kilka lat później dzieło swojego życia, reportaż „Nadciąga noc", napisał: „Przez całą jesień 2002 r. w USA wybijano grzmiący rytm na wojennych werblach. Od dawna oczekiwana inwazja na Irak już nadciągała". Trzeba było tylko znaleźć dla niej wytłumaczenie.

### Broń, której nie było

Mniej więcej w połowie wystąpienia Bush skierował uwagę słuchaczy w stronę Iraku. Zaczął nawet dobrze, od podkreślenia zbrodni popełnianych przez Saddama Husajna na własnych obywatelach. Wiedział jednak, że to nie przekona nikogo o słuszności bardziej zdecydowanej reakcji światowych potęg wobec bagdadzkiego satrapy. Szybko zaczął więc podkreślać, jakim zagrożeniem jest Irak. „Obecnie (...) rozbudowuje i modernizuje obiekty, które były wykorzystywane do produkcji broni biologicznej. Inspekcje ONZ ujawniły również, że Irak prawdopodobnie posiada zapasy VX [gaz bojowy – S.P.], iperytu i innych środków chemicznych, a reżim odbudowuje i rozbudowuje obiekty zdolne do produkcji broni chemicznej".

To wskazanie rzekomo realnego niebezpieczeństwa było pierwszym krokiem do wojny. Drugim stała się lista żądań wobec Bagdadu. Wśród nich znalazło się zaprzestanie prześladowania ludności cywilnej. I to Husajn nawet próbował zrobić. 20 października tego samego roku wydał dekret o amnestii. „Komunikat był zwięzły: udzielono «pełnej, całkowitej i ostatecznej» amnestii dla kilkudziesięciu, a być może nawet kilkuset tysięcy więźniów, wśród których znajdowały się także niewinne ofiary okrucieństwa Saddama" – pisał Shadid, który twierdził również, że była to próba zmobilizowania ludności przed spodziewanym atakiem. Okazała się nieskuteczna, tak samo jak próby spełnienia amerykańskiego ultimatum.

Barbara van den Broeck, rycina „Oblężenie Kartaginy" (ok. 1585 r.)

Jego najważniejszym i kluczowym elementem było zaprzestanie produkcji, ujawnienie oraz zniszczenie istniejącej broni masowego rażenia. Mówiąc o tym, Bush korzystał z utrwalonych w głowach wielu polityków obrazów Iraku z początku lat 90. XX w., kiedy reżim Husajna dysponował takim uzbrojeniem. Wtedy ujawnił to zespół ekspertów kierowany przez inspektora Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej Davida Kaya. Wiosną 2003 r. ponownie miał on udowodnić, że Bagdad w każdej chwili może użyć np. głowicy nuklearnej.

Niespełna rok później przedstawił raport z nowych poszukiwań. Wynikało z niego, że broni, o której mówił Bush, nie było i nie mogło być, bowiem Irakijczycy – obciążeni ograniczeniami nałożonymi na nich przez ONZ – nie byli w stanie jej stworzyć. Wystarczyło jednak, że amerykański przywódca rzucił na Husajna cień podejrzenia, że ten ma taki arsenał. Dowody nie były potrzebne. Prezydent USA udowodnił tym samym, że jeśli bardzo chce się wojny, to będzie się ją miało.

### Pierwsi byli Grecy

Czasami w osiąganiu celu politykom pomaga sytuacja międzynarodowa. Zapiski z lat i miesięcy przed wybuchem obu wojen światowych często podkreślają napiętą atmosferę w polityce międzynarodowej. Różne wydarzenia interpretowano – niekiedy słusznie – jako zwiastuny nadchodzących dramatów. Bo rzeczywiście jest tak, że – o czym się przekonaliśmy, obserwując narastanie napięcia przed rosyjską agresją na Ukrainę w 2022 r. – parcie do konfliktu bywa tak duże, iż pytanie nie brzmi, czy wojna wybuchnie, tylko kiedy to się stanie. Tę prawdę znali już starożytni.

Rok 479 p.n.e. przypieczętował zwycięstwo Greków w wojnach perskich.

eprasa.pl 420f22528a

FOT. UNIVERSAL HISTORY ARCHIVE/UNIVERSAL IMAGES GROUP EDITORIAL

Wydawało się, że przyniesie to zmęczonej wieloletnimi zmaganiami Helladzie upragniony spokój. Nic bardziej mylnego. W tym samym roku doszło do spięcia między głównymi potęgami starożytnej Grecji – Spartą i Atenami. Kłótnia dotyczyła odbudowy otaczających drugie z miast murów, które wcześniej zburzyli Persowie. Lacedemończycy przewidywali, że będzie to krok na drodze do zwiększenia znaczenia Ateńczyków, i dlatego chcieli to zablokować. Poza werbalnym sprzeciwem nie podjęli jednak żadnych działań. Przez następne 15 lat kierowany przez Ateńczyków Związek Morski i sterowany przez Spartan Związek Peloponeski rosły w siłę, zachęcając do wstąpienia w ich szeregi kolejne państwa-miasta (gr. poleis).

W końcu w 464 r. p.n.e. jedno z nich, Tasos, zaatakowane przez Ateny, wezwało Spartan na pomoc. Wydawało się, że wojna, na którą wszyscy czekali, lada chwila wybuchnie za sprawą casus foederis, czyli sytuacji, w której sojusznicy udzielają sobie ustalonej wcześniejszymi umowami pomocy. Dzisiaj najlepiej znanym przykładem tego mechanizmu jest art. 5 Traktatu Północnoatlantyckiego.

Do starcia nie doszło jednak za sprawą natury. Lacedemon, jak nazywano inaczej spartańskie państwo-miasto, nawiedziło potężne trzęsienie ziemi, którego efektem był bunt niewolników. Zamiast bić się o hegemonię w świecie greckim, musiał poradzić sobie z wewnętrznymi zamieszkami. W pewnym momencie Sparta nawet poprosiła sojuszników o wsparcie. Wśród tych, którzy odpowiedzieli pozytywnie, byli Ateńczycy. Podejrzewając ich o chęć nawiązania współpracy z buntownikami, Spartanie odrzucili tę pomoc. Ktoś powie: absurd. Ktoś inny może w tym dostrzec głęboki sens. Ruch ten przyspieszył bowiem starcie. Obrażone Ateny zerwały sojusz, a rok później wojna, nazwana pierwszą wojną peloponeską, w końcu wybuchła. Zakończyła się zachowaniem status quo i podpisaniem na przełomie lat 446/445 p.n.e. pokoju 30-letniego.

Obie strony szybko wróciły do praktyk, które raz już zaprowadziły je na wojenną ścieżkę. Zupełnie jakby dążyły do kolejnego spięcia. Jak w „Wojnie peloponeskiej" stwierdził Tukidydes, najważniejszym powodem kolejnego konfliktu był „wzrost potęgi ateńskiej i strach, jaki to wzbudziło u Lacedemończyków" (tłum. Kazimierz Kumaniecki). I ponownie poziom splątania greckiego mikrokosmosu uczynił cały proces skomplikowanym. Zaczęło się w 437 r. p.n.e. od lokalnego konfliktu w niewielkim mieście Epidamnos (dzisiaj Durres w Albanii), który szybko rozlał się na kilka innych poleis. Finalnie zaś stał się jedną z największych wojen starożytnej Grecji.

Wojną, co ważne, wyczekiwaną, co pokazał jej dynamiczny początek. Tukidydes pisał, że „obie strony przygotowywały się (...) z wielką energią, w czym nie ma nic dziwnego. Do każdej bowiem sprawy przystępuje się z początku z największym zapałem; prócz tego było wówczas zarówno na Peloponezie, jak i w Atenach wielu młodych ludzi, którzy nie wiedząc, czym jest wojna, byli pełni animuszu; również reszta Hellady była podniecona i zainteresowana konfliktem dwóch głównych potęg". Identyczne sceny, czyli kaskadowe rozrastanie się konfliktu oraz społeczny entuzjazm, wręcz zadowolenie z wybuchu wojny, zobaczymy latem 1914 r. Wtedy również Europa jedynie czekała na iskrę, która rozsadzi beczkę prochu.

## Ceterum censeo...

Narodziny starożytnego Rzymu, dużego państwa z jednym ośrodkiem decyzyjnym, uprościły sprawy. Dzięki senatorom i cesarzom urzędującym nad Tybrem historycy nie musieli już przedzierać się przez skomplikowane domino greckich wysp i kolonii ze zmieniającymi się sympatiami i antypatiami. Ktoś złośliwy mógłby powiedzieć, że Rzymianie pokazali Grekom, ale i swoim następcom, że wojna to prosta sprawa. Widać to doskonale na przykładzie trzech wojen punickich, z których pierwsza wybuchła przez przypadek, druga była efektem świadomego budowania napięcia, a trzecia – kaprysem Rzymu.

Wszystko zaczęło się w 289 r. p.n.e. na Sycylii, w Syrakuzach. Śmierć rządzącego nimi tyrana Agatoklesa stworzyła pustkę. W niej pojawili się mamertyni, „synowie Marsa" – najemnicy, którzy przyczynili się do destabilizacji sytuacji na wyspie. Powstały chaos otworzył niespodziewaną szansę na wzmocnienie swojej pozycji najpierw przez Kartagińczyków, a później – Rzymian. Kolejne wykonywane przez nich kroki przybliżały ich do starcia. Jak stwierdza jednak Adrian Goldsworthy, brytyjski historyk specjalizujący się w dziejach starożytnego Rzymu, nikt nie zakładał, że dojdzie do poważniejszego konfliktu. Przede wszystkim relacje między obiema stronami były dobre, a poza tym jedna i druga były przekonane o swojej potędze. I Rzymianie, i Kartagińczycy uważali, że jeśli istotnie wybuchnie wojna, to albo przeciwnik szybko się wycofa, albo będą w stanie sprawnie się z nim rozprawić. W rzeczywistości pierwsza wojna punicka trwała 23 lata.

Zwyciężył Rzym. Kartagińczycy musieli m.in. opuścić Sycylię oraz zapłacić pokaźny okup, ale to ich nie złamało. Rok po roku się odbudowywali.

Relacje między niedawnymi przeciwnikami zaczęły się normować. Handlowali między sobą, rody arystokratyczne nawiązywały relacje, ale to były jedynie pozory. Oba państwa szukały okazji do wszczęcia kolejnej wojny, tym razem świadomie. Kartagina chciała zemsty za porażkę i pragnęła udowodnić, że nadal jest liczącą się siłą, a nie tylko państwem poddanym dyktatowi silniejszego. Rzymianie z kolei uważali pierwsze starcie za niedokończone. Goldsworthy podkreśla w „Upadku Kartaginy", że w ich pojmowaniu świata „wojny powinny się jednak kończyć ich całkowitym zwycięstwem, po którym nieprzyjaciel przestawał być zagrożeniem – zazwyczaj przez wchłonięcie go jako zależnego sprzymierzeńca. Jeśli nawet podbity lud zachowywał pełną lub częściową autonomię, nie wolno mu było prowadzić samodzielnej polityki zagranicznej, a już na pewno nie takiej, która by kolidowała z interesem Rzymu".

Okazją dla obu stron do rozpętania kolejnej burzy ponownie stał się lokalny spór. Tym razem jego centrum umieszczono w leżącym na Półwyspie Iberyjskim mieście Sagunt. Jak bardzo chciano dogrywki, świadczy scena, do której doszło podczas rozmów Kartagińczyków z rzymskimi posłami. Jeden z nich wyszedł w trakcie dyskusji na środek sali i rzucił do gospodarzy, że pod togą trzyma wojnę i pokój, a wyciągnie to, co oni wybiorą. Ci wściekli rzucili mu, żeby sam decydował. Nie zastanawiał się długo.

Choć niewiele zabrakło, aby wygrały dowodzone przez Hannibala wojska kartagińskie, Rzym jeszcze raz zwyciężył. Przez kolejne pół wieku przegrani rok w rok płacili znaczny trybut. Przez cały ten czas robili wszystko, żeby nie narazić się politykom znad Tybru. Ci jednak wraz z otrzymaniem ostatniej raty umówionej kwoty uznali, że muszą ostatecznie rozprawić się z przeciwnikiem. Nie chcieli dopuścić, aby ten wzrósł w siłę. Wyrazem tej autentycznej żądzy zniszczenia stały się przemówienia Katona, który niezależnie od tematu kończył je słowami: „Ceterum censeo Carthaginem esse delendam", czyli „A poza tym uważam, że Kartaginę należy zniszczyć". Nie chcąc jednak zaczynać wojny bez powodu, szukali pretekstu. Jakiegokolwiek.

Zaczęli więc stawiać żądania. Na początek wydania 300 zakładników – dzieci z najznaczniejszych rodów – oraz całego arsenału. Kartagińczycy zrobili to. Gdy jednak kazano im opuścić stolicę i osiedlić się w głębi lądu, uznali, że tego już za wiele. Spełnienie tego oczekiwania oznaczałoby dla nich powolną zagładę. Morze było źródłem ich bogactwa, nie mogli dać się od niego odeprzeć. Zdając sobie sprawę z dysproporcji sił, zrobili to, czego chciał Rzym – wypowiedzieli mu wojnę. Po czterech latach Kartagina przestała istnieć. W wizji świata potomków Romulusa w końcu wszystko było jak należy.

## Prowokatorzy

Obraz Rzymian bezwzględnie dążących do wykończenia przeciwnika nie zawsze był oczywisty. Jak podaje Goldsworthy, XIX-wieczni ▷

eprasa.pl 420f22528a

historycy wierzyli, że Rzym swoją potęgę zbudował nie dzięki agresji, lecz przez umiejętnie prowadzone wojny w obronie własnych granic oraz sojuszników. Koncepcja ta pasowała zarówno Brytyjczykom, którzy widzieli w tym opowieść o cywilizacji silniejszej od państw niecywilizowanych, jak i Niemcom, dla których była to zapowiedź zjednoczenia. Wierzyli, że tak jak Rzymianie poskładali Italię w całość, tak oni będą w stanie zrobić to u siebie.

Wizja scalenia krajów niemieckich w jedno państwo nie podobała się Francji Napoleona III. Żeby pozbyć się zagrożenia z jej strony, a jednocześnie przejąć Alzację i Lotaryngię, Otto von Bismarck, od 1866 r. będący kanclerzem w Związku Północnoniemieckim, zaczął szukać okazji do wywołania wojny. Trafiła się w lipcu 1870 r. Zaczęło się od propozycji kanclerza, aby na tronie hiszpańskim osadzić Leopolda von Hohenzollerna. Przestraszeni groźbą otoczenia przez niemieckie dynastie Francuzi wysłali do Wilhelma I Hohenzollerna, króla pruskiego, swojego ambasadora. Ten próbował wymóc na królu deklarację, że nigdy nie poprze takiej kandydatury. Władca odparł, że nie może złożyć takiego przyrzeczenia, ale on na razie o niczym nie wie – i tutaj mówił prawdę – więc nie ma zagrożenia dla Paryża.

Sprawozdanie z rozmowy Wilhelm I przesłał Bismarckowi 13 lipca. Ten tylko na to czekał. Wiadomość od króla – po przeróbkach – dał do wydrukowania w gazetach. Treść z czysto informacyjnej zmieniła się w prowokacyjną. Oburzeni Francuzi 19 lipca wypowiedzieli wojnę. Przegrali ją w mniej niż rok. Gdy w maju 1871 r. obie strony podpisywały traktat pokojowy, Niemcy były już zjednoczone. Bismarck nie tylko zrobił to, za co historycy niemieccy podziwiali Rzym, ale zrobił to w taki sam sposób – sprowokował wroga do starcia. Niespełna 70 lat później inny kanclerz również sięgnie po prowokacje, aby usprawiedliwić początek wojny.

## To już było

W poniedziałek 9 marca 2026 r., podsumowując pierwsze dni ataku na Iran, Donald Trump powiedział, że Stany Zjednoczone odniosły już zwycięstwo na wiele sposobów, ale nie zatrzymują się i idą dalej. Dodał również: „W ciągu tygodnia zaatakowaliby nas. Na 100 proc. Byli gotowi. Mieli te wszystkie rakiety, znacznie więcej, niż ktokolwiek przypuszczał, i zamierzali nas zaatakować. Mieli zaatakować cały Bliski Wschód i Izrael, a gdyby mieli broń jądrową, użyliby jej przeciwko Izraelowi. To miał być poważny atak".

Czterdziesty siódmy prezydent Stanów Zjednoczonych zrobił to, co wcześniej George W. Bush, Otto von Bismarck, Rzymianie i Grecy. Wymyślił, że chce wojny, a potem dostosował rzeczywistość do swoich potrzeb. Dowodów swoich oskarżeń nie przedstawił. Nie dlatego, że nie chce. On po prostu wie, że nie musi. Nikt go bowiem z tego nie rozliczy. Co najwyżej historycy. ©℗

FOT. GLASSHOUSE/ZUMAPRESS.COM/ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

Ilustracja przedstawiająca wpłynięcie amerykańskiej kanonierki do Zatoki Edo w 1853 r.

# Kanonierki dyplomatyczne

**Ulubioną zagrywką Zachodu podczas ubijania interesów było sięganie po przemoc**

*Andrzej*

## Krajewski

Donald Trump wskrzesił jeden ze standardów XIX-wiecznej polityki zagranicznej: dyplomację kanonierek. Jej kluczowym elementem była groźba użycia siły lub jej użycie dla wymuszenia ustępstw. Rozmowy dyplomatyczne zaczynano od ostrzału miast z dział okrętowych lub tak podsumowywano negocjacje. Dziś okręty wojenne zastąpiło lotnictwo, jednak metody Trumpa niewiele się różnią od tych, jakie Wielka Brytania doskonaliła dwieście lat temu. Po czym inne mocarstwa zaczęły naśladować Londyn.

## Jeden brytyjski obywatel

„Mężczyzna o nazwisku Don Pacifico, portugalski Żyd, który twierdził, że jest poddanym brytyjskim, ponieważ urodził się w Gibraltarze, mieszkał w Atenach aż do 1850 r. Pacifico kilkakrotnie skarżył się na przykrości, jakich doznał ze strony niższych klas społecznych z okazji greckich obchodów Wielkiego Piątku" – tymi słowami zaczyna się raport przekazany Kongresowi USA w maju 1872 r. przez Departament Stanu. Analizowano w nim, jakimi metodami Wielka Brytania broni interesów swoich obywateli na całym świecie.

W przypadku Pacifico afera zaczęła się od spalenia słomianej kukły Judasza przed jego domem. Były portugalski konsul poczuł się urażony, a że znał osobiście innych dyplomatów w Atenach, pobiegł na skargę do brytyjskiego ambasadora. Na wieść o tym „tłum pijanych mężczyzn zaatakował kamieniami rezydencję Don Pacifica, wybijając niektóre okna, uszkadzając lub niszcząc część jego mebli i poważnie niepokojąc starca i jego żonę" – raportował Departament Stanu. Za poniesione szkody Don Pacifico zażądał od greckich władz 280 funtów odszkodowania. Te skierowały sprawę do specjalnego trybunału, by rozpatrzył roszczenia. Działano zgodnie z zapisami traktatu zawartego między Wielką Brytanią a Grecją w 1837 r. Jednak Londyn nie zamierzał czekać na wyrok. „Lord Palmerston oświadczył w niezwykle obraźliwych słowach, że greckim trybunałom nie można ufać" – opisywał Departament Stanu.

Następnie brytyjski minister spraw zagranicznych podniósł kwotę wymaganego od Grecji odszkodowania do 5 tys. funtów. Grecy odmówili. „Nagle, 15 stycznia 1850 r., u wybrzeży portu w Pireusie pojawiła się duża flota angielska pod dowództwem Williama Parkera, składająca się z sześciu lub ośmiu okrętów liniowych oraz kilku fregat i innych jednostek wojennych" – zapisano w raporcie dla Kongresu. Admirał Parker wprowadził się do rezydencji brytyjskiego ambasadora. Tak rozpoczęto negocjacje. Szły one opornie, więc trzy dni później ambasador wraz z rodziną demonstracyjnie przeprowadził się na pokład okrętu flagowego „The Queen". Wkrótce potem Brytyjczycy ogłosili blokadę Pireusu. Tak paraliżując grecką wymianę handlową.

Ateny stawiały dzielny opór przez trzy miesiące, odmawiając wypłaty odszkodowania, choć ponoszone straty ekonomiczne były nieporównywalnie większe. Brytyjczycy nie ostrzeliwali miasta, lecz spokojnie czekali z działami wycelowanymi w stronę Akropolu. Po 90 dniach grecki rząd uznał, iż honor ojczyzny jest już wystarczająco zabezpieczony. Przekazano więc 5 tys. funtów w złocie Don Pacifica i ten odpłynął na pokładzie „The Queen" do Londynu.

Zwinięcie ekonomicznej blokady Grecji nie zamknęło sprawy, bo stała się głośna na świecie. To mocno zirytowało

eprasa.pl 420f22528a

królową Wiktorię, która uznała, że lord Palmerston zaszkodził brytyjskim interesom, ryzykując wybuch wojny podczas windykowania odszkodowania dla jednego portugalskiego Żyda. Sprawą zajęła się więc Izba Gmin i na głowę ministra spraw zagranicznych posypały się gromy. Ale Palmerston się nie ugiął i odpowiedział pięciogodzinnym przemówieniem. Tłumaczył, że dbając o swoje interesy, Wielka Brytania nigdy, nawet w najdrobniejszych sprawach, nie może okazywać słabości. Dlatego każdy poddany korony musi być chroniony tak samo mocno, jak obywatel starożytnego Rzymu. Wystąpienie zakończył słowami: Civis Romanus sum (Jestem obywatelem rzymskim).

## Handel i przemoc

„Europejskie mocarstwa były zasadniczo niewielkie w porównaniu z imperiami osmańskim, Mogołów, Ming i Qing" – zauważa J.C. Sharman w opracowaniu „Gunboat Diplomacy: Power and Profit at Sea in the Making of the International System". Jednak to mikroskopijne w porównaniu choćby z Chinami kraje europejskie nauczyły się kontrolować nie tylko lądowe szlaki handlowe, ale także morskie. Zatruwając przy każdej sposobności życie kupcom z konkurencyjnych państw.

Prekursorem takich działań stała się w XVI w. Portugalia. Acz uzupełniono je systemem sprzedawanych przepustek, zapewniających bezpieczną żeglugę. „Statki bez nich mogły zostać splądrowane, schwytane lub zatopione" – wyjaśnia Sharman. Tak kształtował się zalążek dyplomacji kanonierek.

Tymczasem Portugalczyków z Oceanu Indyjskiego i Dalekiego Wschodu wyparły dwie wielkie spółki handlowe: Holenderska Kompania Wschodnioindyjska oraz założona w 1600 r. w Londynie Kompania Wschodnioindyjska. Obie, zarabiając w odległych krajach pieniądze dla udziałowców, przekształciły się w quasipaństwa z własnymi flotami i armiami. Robiąc interesy w Indiach, Indochinach czy Afryce, regularnie sięgały po argument siły, gdy tylko ich interesy były zagrożone. Wykuto wówczas regułę mówiącą, że „nie można prowadzić handlu bez wojny, ani wojny bez handlu". Okazała się ona inspiracją dla mocarstw, które na początku XIX w. zaczęły ograniczać samodzielność wielkich kompanii. W nowej epoce to rządy pragnęły dzierżyć w swoich rękach monopol na przemoc. Także wówczas, gdy negocjowano warunki kooperacji gospodarczej.

Europejczykom prowadzenie takiej polityki ułatwiała zdobyta wówczas przewaga technologiczna, zwłaszcza na polu budowania coraz potężniejszych okrętów i dział. Zaś prawdziwym przełomem stało się wprowadzenie do służby przez Wielką Brytanię parowców. Floty dalekowschodnich państw okazały się kompletnie niezdolne do stawienia im czoła. Jaką czyni to różnicę, na własnej skórze przekonały się Chiny, gdy cesarz Daoguang postanowił zablokować sprzedaż opium, dostarczanego z Indii do Państwa Środka przez Kompanię Wschodnioindyjską. Wystarczyła jedna eskadra brytyjskich okrętów i skromny korpus interwencyjny, by w 1842 r. rzucić na kolana najludniejsze państwo świata. Pokonany cesarz musiał zaakceptować traktat, który nakładał na Państwo Środka nie tylko kontrybucję, ale też zmuszał do otworzenia pięciu portowych miast dla zachodnich kupców i spółek handlowych, tak aby mogli bez przeszkód prowadzić interesy z chińskimi odbiorcami ich towarów. Jako bonus Wielka Brytania potraktowała anektowaną przez siebie wyspę Hongkong. Stała się ona kluczowym punktem przeładunkowym i przesiadkowym dla kupców z całego świata i bramą do ogromnego chińskiego rynku.

„Podczas wizyty w Hongkongu w 1875 r. amerykański pedagog E. Warren Clark wspominał, że «liczba statków codziennie przypływających i odpływających z tego portu jest zaskakująca». Większość z nich zakotwiczyła w Porcie Wiktorii, który znajdował się u wybrzeży miasta Victoria, między wyspą Hongkong a półwyspem Kowloon" – opisuje w opracowaniu „British Colonial Rule over Littoral Space and Watercraft in Hong Kong, 1841–1898" Gary Chi-hung Luk. „W 1891 r. z portu skorzystało prawie 40 tys. statków handlowych" – dodaje.

Wolny handel generował dochody kluczowe dla imperium brytyjskiego, zatem słało ono bez wahania okręty wojenne na kolejne misje. Natomiast inne kraje z ambicjami mocarstwowymi naśladowały angielski model wymiany handlowej.

## Biznes po amerykańsku

Niedługo po tym, jak przy użyciu marynarki wojennej Wielka Brytania uzyskała dostęp do rynku Chin, Dalekim Wschodem zainteresowali się biznesmeni z USA. „Na czele grupy stał kupiec nowojorski Aron H. Palmer. Prowadził on kampanię w Kongresie i w prasie, odbywał rozmowy z politykami itp. Informacje, jakie Palmer zbierał o Japonii, przekazywał Departamentowi Stanu. W wyniku zabiegów Palmera w 1845 r. w Izbie Reprezentantów przedłożono projekt rezolucji wzywającej rząd do zawarcia układów handlowych z Japonią i Koreą" – opisuje Longin Pastusiak w monografii „Dyplomacja Stanów Zjednoczonych (XVIII–XIX w.)".

Jednak gorące pragnienie amerykańskich kupców nie spotkało się z odwzajemnionymi uczuciami po drugiej stronie Pacyfiku. Od dwustu lat Japonia prowadziła politykę sakoku, czyli odizolowania kraju od wpływów zewnętrznych. Handel zagraniczny kontrolowały władze i ograniczono go do niewielkiej wymiany z Holendrami i Chińczykami w porcie Nagasaki. Cudzoziemców nie wypuszczano na japońską ziemię. Zatem uchwały Kongresu USA nie miały mocy sprawczej. O wiele bardziej przydatny dla amerykańskich kupców był jakiś pretekst do tego, by USA posłały ze specjalną misją do Kraju Kwitnącej Wiśni marynarkę wojenną. Dali go sami Japończycy, biorąc w niewolę 14 amerykańskich rybaków, gdy ich statek rozbił się przy japońskim wybrzeżu. Przybył po nich w kwietniu 1849 r. okręt wojenny „Preble". Dowodzący nim James Glynn przekazał gospodarzom, że albo Amerykanie zostaną mu oddani, albo ostrzela Nagasaki. Rybacy wrócili do ojczyzny, co zachęciło Waszyngton do próby wynegocjowania umowy handlowej z Japonią, posługując się identyczną metodą.

Specjalna ekspedycja, dowodzona przez Matthew Perry'ego, wpłynęła do Zatoki Edo (obecnie Zatoki Tokijskiej) 8 lipca 1853 r. Cztery nowoczesne fregaty parowe uczyniły na gospodarzach piorunujące wrażenie. Dokładnie tak jak chciał ich dowódca. Przed rozpoczęciem misji Perry przeczytał dostępne publikacje o Japonii i rozmawiał z ludźmi, mającymi pojęcie o Kraju Kwitnącej Wiśni. Tak przygotował strategię. Urządził pokaz siły, ale w przeciwieństwie do Brytyjczyków na nim poprzestał i nie zaczął strzelać. W liście przekazanym dworowi cesarskiemu informował, iż domaga się otwarcia Japonii na wolny handel ze Stanami Zjednoczonymi. Jednocześnie dał do zrozumienia, że jeśli jego żądania zostaną odrzucone, powróci z większą flotą i użyje siły. Po czym odpłynął, dając gospodarzom czas do namysłu.

Jego dobre wychowanie i uprzejmość zostały docenione na cesarskim dworze. W lutym 1854 r. Perry powrócił, tym razem z eskadrą liczącą dziewięć okrętów wojennych. „Rokowania toczyły się w dobrej atmosferze i względnie szybko. W trakcie rokowań negocjatorzy dokonali wymiany prezentów. Amerykanie ofiarowali m.in. telegraf, model lokomotywy i pociągu, książki, a także broń. Perry poczęstował swych gospodarzy szampanem i alkoholem, co spotkało się z zadowoleniem. Podpici Japończycy okazywali Perry'emu swą sympatię" – opisuje Pastusiak. Rozmowy zakończyły się 31 marca 1854 r. podpisaniem traktatu, ogłaszającego pokój między Japonią a Stanami Zjednoczonymi. Kraj Kwitnącej Wiśni w zamian otwierał dwa porty Shimodę i Hakodate dla amerykańskich statków handlowych.

Najszybciej docenili znaczenie układu Anglicy. „Natychmiast wysłali eskadrę okrętów wojennych pod dowództwem admirała Jamesa Stirlinga. Przybył on do Nagasaki 7 września 1854 r. i zawarł porozumienie z Japończykami" – uzupełnia Pastusiak. Japończycy, mając do wyboru ostrzał artyleryjski, a następnie rozpoczęcie swobodnej wymiany handlowej, woleli przejść od razu do drugiego etapu. Jednak upokorzenie, jakiego doznali, przyniosło Krajowi Kwitnącej Wiśni serię olbrzymich wstrząsów politycznych, po których załamały się rządy szogunów z rodu Tokugawa i nastąpiła restauracja władzy cesarskiej. Wówczas Tokio przystąpiło z wielką determinacją do modernizacji kraju, tak aby upodobnić Japonię do europejskich mocarstw i samemu móc prowadzić dyplomację przy użyciu kanonierek.

## W imię zasad

Prowadzenie dyplomacji kanonierek dawało przywódcom poczucie sprawczości i stanowiło jednocześnie pokaz siły ich państw. Jeśli dany kraj okazywał się zdolny zastraszyć inny przy użyciu floty, oznaczało to, iż należy mu się status mocarstwa. Dlatego liczba chętnych, by takimi metodami podnosić na arenie międzynarodowej swój prestiż, stale rosła. Acz potrzebny był też ktoś do odgrywania roli ofiary.

W drugiej połowie XIX w. idealnie nadawała się do tego Turcja. Niegdyś śmiertelnie niebezpieczne dla Europy imperium osmańskie pozostawało wciąż olbrzymie, lecz z racji zacofania było kompletnie bezbronne. Zatem łatwo dawało się je efektownie zastraszyć. Okazja ku temu nadarzyła się w maju 1876 r. Młoda Bułgarka, która dobrowolnie przeszła na islam i zamierzała poślubić muzułmanina, została porwana przez chrześcijański tłum na dworcu kolejowym w Salonikach. W znajdującym się pod tureckim panowaniem mieście jego greccy mieszkańcy nienawidzili wszystkiego, co muzułmańskie, a najbardziej konwertytów. „Następnego dnia rano, gdy wieści o napadzie i porwaniu muzułmańskiej dziewczyny przez chrześcijan rozeszły się po mieście, tłum muzułmanów zaczął gromadzić się przed rezydencją lokalnego gubernatora" – opisuje w opracowaniu „Gunboat Diplomacy of the Great Powers on the Ottoman Empire" turecki historyk Fikrettin Yavuz.

Groźba pogromu chrześcijan sprawiła, że konsulowie Francji oraz Niemiec udali się do gubernatora i interweniowali w ich obronie. „Tłum tak bardzo rozgniewał się na nich, że ich zlinczował" – podsumowuje Makalesi. O śmierci dyplomatów rozpisywała się prasa w Europie, podkreślając, jak wielka bezkarność zapanowała w imperium osmańskim. Wkrótce do portu w Salonikach przybyły dwa okręty wojenne, wysłane przez Francję i Włochy. Na tym się nie skończyło. „Wielkie mocarstwa dosłownie ustawiły się w szeregu, aby zademonstrować siłę" – zauważa Makalesi. Każde posłało do Salonik choćby jedną dobrze uzbrojoną jednostkę. Na koniec w niewielkim porcie i jego okolicach cumowało aż 15 potężnych statków z działami wycelowanymi w miasto.

Groźba zrównania z ziemią Salonik sprawiła, że sułtan Abdülaziz zdymisjonował gubernatora i wysłał specjalnych inspektorów wraz z oddziałami wojskowymi, aby przywrócili porządek. Ich głównym zadaniem stało się zademonstrowanie zachodnim mocarstwom, iż Turcja potrafi egzekwować sprawiedliwość. Inspektorzy błyskawicznie wskazali winnych zabicia konsulów, zorganizowali proces i zadbali o to, by wydano wyroki śmierci. „Sześciu skazańców stracono na nabrzeżu, w miejscu otwartym dla publiczności i dobrze widocznym z okrętów wojennych" – opisuje Makalesi. „Podczas egzekucji okręty wojenne wielkich mocarstw, zgodnie z praktyką dyplomacji kanonierek, skierowały swoje działa w stronę muzułmańskiej dzielnicy Salonik" – dodaje. Po czym usatysfakcjonowani spektaklem dyplomaci i dowódcy wydali rozkazy obrania kursu na ojczyste porty. Tak dyplomacja kanonierek jeszcze raz potwierdziła swoją skuteczność i działała, dopóki europejskie mocarstwa nie zaczęły strzelać do siebie nawzajem. ©℗

Więcej niż gazeta! Skanuj kod! DGP.pl

eprasa.pl 420f22528a

# Kultura

# Trzeba się streszczać

**Człowiek przymierza się do opisania skomplikowanego tematu i nagle wpada w zachwyt nad łatwością operowania słowem. Jeżeli słowo prowadzi cię na manowce przyjemności, to znaczy, że nie napiszesz tego, co powinieneś napisać**

*Z Adamem*

## Nowakiem

*rozmawia* Konrad Wojciechowski

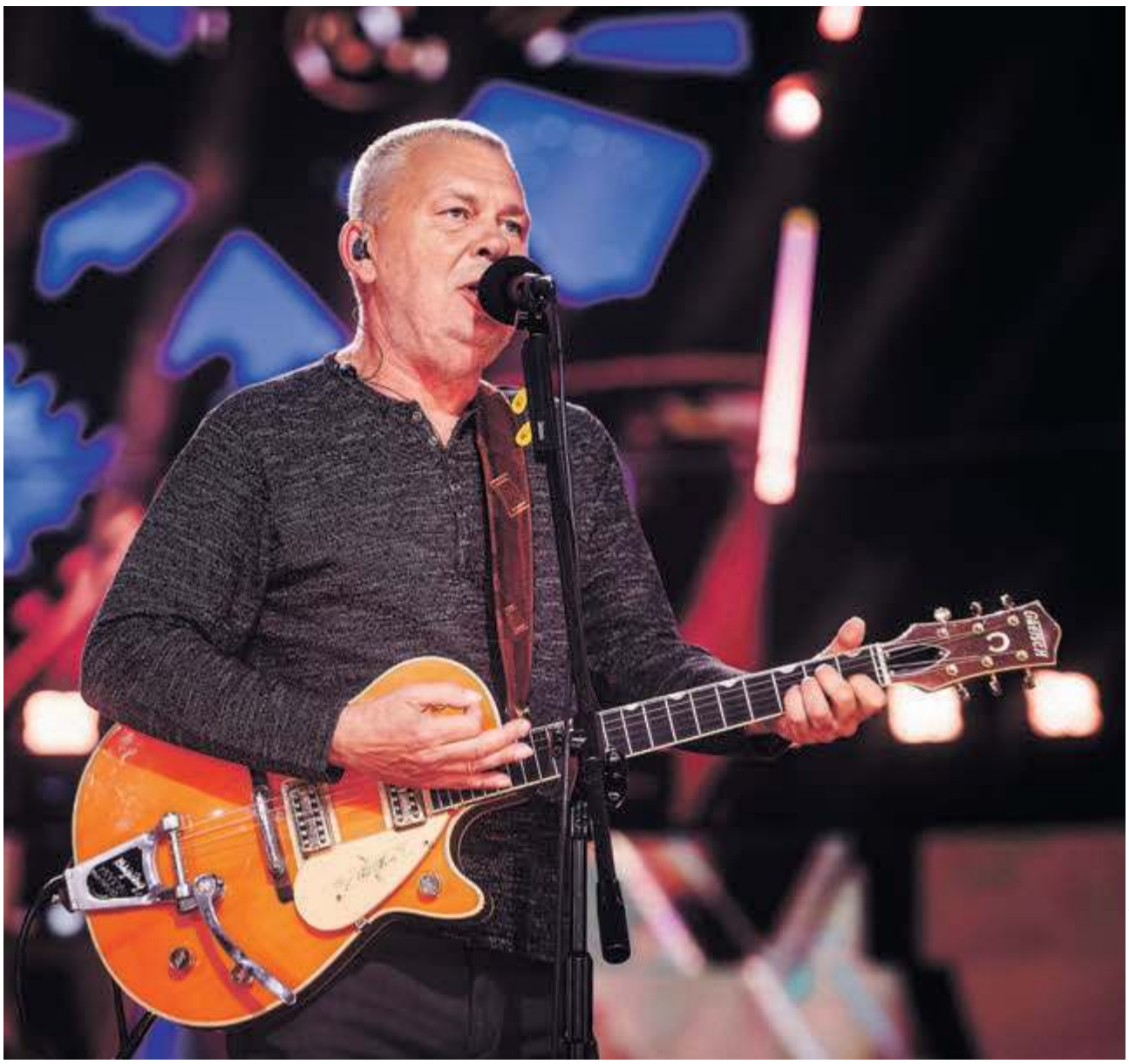

FOT. KAROL MAKURAT/REPORTER

Adam Nowak
autor tekstów, gitarzysta, wokalista. Współzałożyciel zespołu Raz Dwa Trzy, który celebruje 35-lecie działalności trasą koncertową pt. „Raz Dwa Trzy... dzieści pięć okrążeń wokół słońca”

**Ile jest w tobie poważnego poety, pieśniarza, a ile dawnego satyryka z występów w czasach studenckich?**

Moja satyryczna dusza jest głęboko ukryta. Mistrzem humorystycznej opowieści z istotnym morałem był Wojciech Młynarski. No i pan Przybora, który – tak samo jak Młynarski – odnosząc się do ludzkiej natury, komentował w żartobliwym tonie obserwowane zjawiska społeczne. Takie teksty zostały już napisane, i to perfekcyjnie. Ja nieustannie wypatruję swojej drogi artystycznej – daleko od anegdotyczności.

**Bo to nie przystoi artyście, którego trapią poważne bolączki?**

Ludzie twierdzili, że świetnie bawię się słowem, a mnie to sformułowanie drażniło. W ogóle nie bawię się słowami, uważam taką zabawę za zbędną. Owszem, z żonglerki sformułowaniami i znaczeniami mogą wyniknąć ciekawe skojarzenia czy konteksty, ale samo słowo „żonglerka” jest nieodpowiednie.

**Zanim zacząłeś zderzać poezję z rockiem w grupie Raz Dwa Trzy, przeszedłeś przez kilka zielonogórskich kabaretów, bo to była jedyna droga od studenta do estradowca?**

W naszym środowisku guru był Władek Sikora (animator zielonogórskiego zagłębia kabaretowego pod koniec lat 80. – red.). Mianował się imperatorem, a ja z kilkoma kolegami postanowiliśmy zaprotestować. Powstała artystyczna opozycja wobec Władka i jego działalności. On był bardzo oddany młodym ludziom, którzy prosili o pomoc, ale odciskał silne piętno na pracy innych, co odbierało autentyczność startującym artystom. Należało dokonać wyboru: postępujemy wedle swojego uznania czy potrzebujemy środowiskowej weryfikacji? Odszedłem z kabaretu i wspólnie z kolegami założyliśmy Raz Dwa Trzy. Niemniej kabaretowa przeszłość ciągnęła się za nami do tego stopnia, że kiedy przyjechaliśmy na Studencki Festiwal Piosenki do Krakowa, pytano nas, czy zaprezentujemy coś śmiesznego.

**A kiedy studenci zakładają kapelę, biorą się do śpiewania na serio natchnionych pieśni dla intelektualistów?**

Nie kierowaliśmy się intelektualnymi pobudkami. Chodziło o zaprzeczanie obowiązującym wzorcom w piosence studenckiej, tej balladowości, którą negowali Mariusz Lubomski, a potem Renata Przemyk. I my z tą uciążliwą balladowością też postanowiliśmy się rozprawić. To nie był nasz świat,

eprasa.pl 420f22528a

absolutnie. Operowaliśmy innym językiem. Z niego wyniknęła nazwa zespołu. Miała nie nosić żadnej ideologii. Dlatego powstało najpierw Trzy, a później – Raz Dwa Trzy. Cel był prosty: zadebiutować koncertowo przed koleżankami i kolegami ze studiów.

**Co i komu chciałeś udowodnić?**

Wcześniejsze działania były amatorskie. Marzyłem o profesjonalnej scenie. A co wówczas świadczyło o zawodowstwie? Nagranie i wydanie płyty. Pełnoprawnym estradowcem był artysta z płytą na koncie i to najlepiej kompaktową, bo albumy na nośniku CD szły z duchem czasów. Nasz fonograficzny debiut – „Jestem Polakiem" – ukazał się jednak na analogu.

**To jest ta płyta, której nie wydały Polskie Nagrania, bo na fali kapitalizmu uznały, że to się nie sprzeda?**

Poszedłem na rozmowę z Andrzejem Marcem, który podejmował tam decyzje. Siadamy u niego w gabinecie, daję materiał do przesłuchania, on włącza, słucha, po czym uczciwie informuje, że Polskie Nagrania tych piosenek nie wydadzą, bo nie widzą w nich potencjału rynkowego. To była bardzo koleżeńska rozmowa. Andrzej życzył nam sukcesów – wielkich hal koncertowych i miliona sprzedanych płyt. Stanęło na tym, że wynajęliśmy taśmę produkcyjną w Polskich Nagraniach, gdzie nam tę płytę wytłoczono. Po wyjściu z budynku cały nakład należał do nas. Sami, z Jankiem Klimenko (ówczesnym menedżerem), pakowaliśmy płyty w kartonowe okładki na chodniku i upychaliśmy w bagażniku samochodu. To była prawdziwa muzyka chodnikowa. (śmiech)

**Początki były trudne, ale wkrótce trafiliście pod skrzydła giganta fonograficznego.**

Powstała wytwórnia Pomaton, która postanowiła wydawać i dystrybuować twórczość Jacka Kaczmarskiego, bo akurat wrócił z emigracji. Firma sięgnęła też po innych wykonawców z nurtu piosenki literackiej. Po pewnym czasie Pomaton został wchłonięty przez duży koncern muzyczny EMI, a gigant rynkowy miał inne plany wobec polskich wykonawców. Zwykle zupełnie inne plany niż artyści z nim związani. Rodzimy katalog był tylko dodatkiem do sprzedaży zagranicznych gwiazd. A my nie nagrywaliśmy przebojów na zamówienie.

**I jak to się skończyło?**

Pracownicy firmy wymyślili, że Raz Dwa Trzy będzie polską Chumbawambą (brytyjska kapela nagrywająca muzykę na styku folk i punk – red.). Pomysł nas ubawił, ale i rozczarował. Dlaczego mamy się za kogoś przebierać? Nie chodziło o ortodoksyjne zachowanie własnej tożsamości. To była niezgoda na odgrywanie cudzych ról, co w kulturze popularnej stało się działaniem na porządku dziennym.

**Raz Dwa Trzy też osiągnęło popularność. Wiesz z jakiego powodu? Może dzięki dobremu rozeznaniu nastrojów społecznych, zwłaszcza w latach 90., kiedy człowiek – jak w waszej piosence – miał papierosy, drobne i dziurę w kieszeni płaszcza?**

Raczej nie wsłuchiwaliśmy się w głosy polskiej ulicy. Od tego są inni artyści. Świetne teksty publicystyczne pisze Kazik, który czujnie reaguje na okoliczności społeczno-polityczne. Dla mnie to obca materia. Mam skłonność do używania metafor albo podważania stawianych tez, tak jak robi to Lech Janerka w swoich tekstach.

**Wspomniałeś Kaczmarskiego, który w swoich piosenkach odnosił historię do aktualnych realiów. Takie pisanie jest ci bliskie?**

Moim zdaniem teksty Jacka były bardzo sprawne literacko, ale pozbawione liryki. Potrzeba objaśniania świata przez artystę, który bierze na siebie obowiązek analizowania i syntetyzowania faktów, a następnie przedstawiania tego w piosence, bywa uciążliwe i dla odbiorcy, i dla samego twórcy. Jak tego dokonać – nie uogólniając tematyki – w trzech czterowersowych zwrotkach?

**Bob Dylan i Leonard Cohen potrafili to robić.**

Przychodzi mi do głowy anegdota. Nie pamiętam już, o którą piosenkę Dylana chodzi, ale kiedy zarejestrował ją w studiu, całość przekraczała sześć minut. I ktoś z personelu, a może sam producent, zaoponował: „Takiej dłużyzny nie puszczą w żadnym radiu". Napisano więc na okładce płyty, że piosenka trwa trzy minuty, aby numer nie przepadł w rozgłośniach.

**Tobie też zdarzają się przydługie wypowiedzi artystyczne, weźmy utwór „Jestem tylko przechodniem".**

No tak, szczególnie w wersji koncertowej ta piosenka jest dość obszerna. Wiesz, dla nas jest ważne, aby podczas spotkania z publicznością osiągnąć pewien poziom transu. Uznaliśmy, że nie będziemy niczego skracać, bo ten czy inny kawałek i tak nie zostanie przebojem, więc możemy sobie pozwolić na wszystko, co jest potrzebne do swobodnej wypowiedzi.

**Wolisz opowiadać o świecie czy o sobie?**

Piosenka „Talerzyk" to dobry przykład zastosowania sentencji Dostojewskiego, zgodnie z którą, jeśli chcesz opisać świat, opisz swoją wioskę. Postanowiłem to właśnie zrobić, a jednocześnie zbadać swój stosunek do rzeczywistości – jestem stoikiem czy raptusem. Tekst stoi w zgodzie z moją naturą, jednak powstał ponad 30 lat temu i... sam nie wiem, czy mówi nadal o mnie. Może od tamtego czasu się zmieniłem? Jestem bardzo krytyczny wobec prób opisywania swoich przemyśleń, a następnie przedstawiania ich na zewnątrz, jak w piosenkach „Trudno nie wierzyć w nic" czy „Nazywaj rzeczy po imieniu". To są monologi wewnętrzne, a zarazem starania, aby pisać bez zakłóceń.

**Co masz na myśli?**

Człowiek przymierza się do opisania skomplikowanego tematu i nagle wpada w zachwyt nad łatwością operowania słowem. Jeżeli słowo prowadzi cię na manowce przyjemności, to znaczy, że nie napiszesz tego, co powinieneś napisać. Siadasz nad kartką i nie jesteś całkowicie uczciwy wobec siebie. W takim razie odłóż kartkę. Bycie sprawnym tekściarzem, który pisze efektowne rzeczy, nie powoduje, że autor naprawdę przekaże, co miał na myśli.

**Ale chyba jesteś zadowolony z niektórych sformułowań, które wysłałeś w piosence do ludzi. Weźmy: „Jeśli kochasz, jak umiesz, to dobrze, resztę później zrozumiesz". I sprawne literacko, i mądre życiowo.**

I krótkie. Rozmawiamy o piosence, a tu trzeba się streszczać. Poezja jest zwykle poważniejsza, a piosenka ma swoje przywileje. Tekst piosenki zniesie pewną potoczność, którą bardzo eksploatują zwłaszcza artyści młodego pokolenia. Nie chcę zabrzmieć jak dziaders, ale jak słucham niektórych utworów, to więcej treści znajduję w gazecie czy na portalu niż w piosence. Znaczna część odbiorców też przestała czekać na coś bardziej szlachetnego, co różni się od mowy potocznej. A jednocześnie najtrudniej przedstawić bardzo poważne tematy bardzo prostym językiem.

**A ty śpiewasz o tym, o czym ludzie się boją rozmyślać?**

O tym wszystkim, czego nie usłyszałem u innych twórców. I nie chodzi o to, że ktoś nie poruszył ważnego tematu. Wielu autorów i wiele autorek podziwiam za prowadzenie myśli w tekście – lekko, przejrzyście, klarownie, a jednocześnie w sposób odnoszący się do ludzkiej egzystencji. Tego tekściarzom zazdroszczę. I przez cały czas szukam swojego języka.

**A poza tym również odpowiedzi na pytania ostateczne? Bo wiele piosenek Raz Dwa Trzy jest przesyconych eschatologicznym niepokojem.**

Usiłowano mnie wychować w duchu nawykowej religijności, z którą od początku się nie zgadzałem. Było mi z nią niewygodnie, ale nie umiałem tego dyskomfortu opowiedzieć słowami. Po wielu, wielu latach udało się go w końcu nazwać – ten quasimetafizyczny patos z sienkiewiczowsko-biblijnego języka, który ma przesądzać o tożsamości każdego Polaka. Stąd mój głos protestu w formie dialogu wewnętrznego na płycie „Cztery". W piosence „Trudno nie wierzyć w nic" próbuję się rozprawić z tą nawykową religijnością. Mówił o niej Tomáš Halik (czeski duchowny rzymskokatolicki – red.), który nie chadza na wielusettysięczne spędy wiernych, gdzie przyjeżdżała figura papieska, ponieważ nie lubi gimnastyki religijnej. Ja też nie lubię. Nie lubię bezmyślnego działania. Mam zbyt wiele wątpliwości związanych z codziennością, aby orator znad ołtarza dyktował mi, jak mam żyć. Pewnie narażę się wielu osobom, ale powiem to: problemem jest bezrefleksyjna ufność naszego społeczeństwa w słowa przewodników duchowych, którzy również mogą się mylić.

**Nikt nie jest nieomylny.**

Oni często podkreślają, gdy sami zbłądzą, że są tylko ludźmi. Ale kiedy wyznaczają nam warunki bytowania duchowego i egzystencjalnego w najlepszym ze światów, wtedy się nie mylą. Dla mnie to relatywizm. Ja się z tym nie godzę.

**Czy czujesz się dłużnikiem Boga, jak sygnalizujesz w „Trudno nie wierzyć w nic"?**

Z tym Bogiem to skrót myślowy pochodzący z mojego zaplecza religijnego. Piosenka uznaje istnienie pewnej jednostki transcendentnej, a sama moja wypowiedź brzmi trochę jak bezradność wobec objęcia zmysłami wszystkiego, czego nie da się opleść rozumem. To nie dotyczy wyłącznie wierzących – ateistów również.

**Twoje opowieści mają na celu oswoić czas, którego z dnia na dzień robi się coraz mniej? Leczysz obawy, czy jesteś pogodzony z tym, jak ten świat został skonstruowany?**

Nie wiemy, co komu pisane. Ta niewiedza często wywołuje grozę. Trochę jak z usypianiem na sali operacyjnej – ludzie boją się tego, co nastąpi; że już się nie obudzą. Można na to popatrzeć z innej strony: jak ktoś cię uśpi i już nie będziesz wiedział, że śpisz, to i tak nie ma dla ciebie żadnego znaczenia, czy nastąpi pobudka. Pogódź się z tym, co nieuchronne, bo niczego nie możesz zmienić.

**Żyj kolorowo!**

Żyj szlachetnie, intensywnie, w zgodzie z ludźmi. Miej dużo prawdziwych znajomych, bo internet nie jest wykładnią posiadania wielu przyjaciół. Fajnie zamienić słowo z drugim człowiekiem, bo może myśli inaczej niż ja, do czego ma absolutne prawo. Są sprawy, które łączą ludzi, ważniejsze niż te, które na co dzień nas dzielą.

**Dużo w tej rozmowie było na temat wiary, więc pewnie nie masz nic przeciwko stwierdzeniu, że przez ostatnie 35 lat Raz Dwa Trzy dochowało się grona wiernych słuchaczy?**

Kilka lat temu graliśmy w Krakowie i lokalny dziennikarz pofatygował się na nasz koncert. Posłuchał, a później napisał relację w gazecie. Konkluzja była taka: grają ciekawie, ale to nie jest moja religia. ©℗

Więcej niż gazeta! Skanuj kod! DGP.pl

eprasa.pl 420f22528a

KOMUNIKAT

**OBWIESZCZENIE**
**WOJEWODY WIELKOPOLSKIEGO**
**z 11 marca 2026 r.**

Na podstawie art. 8 ust. 1 pkt 3 i ust. 1a w związku z art. 38 pkt 2 lit. zg i art. 19a ust. 3 i 19b ust. 1 ustawy z dnia 24 kwietnia 2009 r. o inwestycjach w zakresie terminalu regazyfikacyjnego skroplonego gazu ziemnego w Świnoujściu (Dz.U. z 2025 r. poz. 1222), zwanej dalej: ustawą,

**zawiadamiam**

o wszczęciu na wniosek Operatora Gazociągów Przesyłowych GAZ-SYSTEM S.A. postępowania w sprawie wydania decyzji o zezwoleniu na wejście na teren nieruchomości w celu przeprowadzenia prac niezbędnych do sporządzenia wniosku o wydanie decyzji o ustaleniu lokalizacji inwestycji towarzyszącej inwestycjom w zakresie terminalu dla przedsięwzięcia polegającego na punktowym remoncie gazociągu przesyłowego Odolanów – Załęcze o średnicy DN 500, w zakresie działek oznaczonych w ewidencji gruntów i budynków jako:

**Powiat rawicki**
**Gmina Rawicz**
Jednostka ewidencyjna: 302205_5, Rawicz (obszar wiejski)
Obręb: 0003 Folwark, dz. nr ewid.: 15/2 PO1R/00008310/7),
Obręb: 0009 Masłowo, dz. nr ewid.: 458 (PO1R/00013347/3),
Obręb: 0018 Załęcze, dz. nr ewid.: 5060/3 (PO1R/00001444/6).

(w nawiasie podano oznaczenia ksiąg wieczystych)

Jednocześnie zawiadamiam, że zgodnie z art. 49 § 2 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. - Kodeks postępowania administracyjnego (Dz.U. z 2025 r. poz. 1691), zwanej dalej: k.p.a., w związku z art. 8 ust. 1 pkt 3 ustawy, zawiadomienie stron postępowania uważa się za dokonane po upływie czternastu dni od **13 marca 2026 r.,** tj. dnia, w którym nastąpiło publiczne ogłoszenie poprzez obwieszczenie na tablicach ogłoszeń i w Biuletynie Informacji Publicznej w Wielkopolskim Urzędzie Wojewódzkim w Poznaniu i właściwym miejscowo urzędzie gminy, a także w prasie ogólnopolskiej.

W przypadku gdy po dokonaniu obwieszczenia nastąpi:

1) zbycie własności lub prawa użytkowania wieczystego nieruchomości objętej wnioskiem o wydanie decyzji o zezwoleniu na wejście na teren nieruchomości,
2) przeniesienie wskutek innego zdarzenia prawnego własności lub prawa użytkowania wieczystego nieruchomości objętej wnioskiem o wydanie decyzji o zezwoleniu na wejście na teren nieruchomości,
   – nabywca, a w przypadku, o którym mowa w pkt 1, nabywca i zbywca, są obowiązani do zgłoszenia właściwemu wojewodzie danych nowego właściciela lub użytkownika wieczystego.

Niedokonanie powyższego zgłoszenia i prowadzenie postępowania bez udziału nowego właściciela lub użytkownika wieczystego nie stanowi podstawy do wznowienia postępowania.

Zgodnie z art. 10 k.p.a., strony postępowania lub ich przedstawiciele i pełnomocnicy mogą zapoznać się z aktami sprawy w Wielkopolskim Urzędzie Wojewódzkim w Poznaniu, Wydział Infrastruktury, Al. Niepodległości 16/18, pok. 105 bud. C, a także mają prawo wypowiedzieć się co do zebranych dowodów i materiałów oraz zgłoszonych żądań. We wszystkich sprawach prowadzonych przez WUW w Poznaniu można się kontaktować z pracownikami telefonicznie (tel. 61 854 12 89) i osobiście w godzinach obsługi klientów urzędu (poniedziałek, środa, piątek od 8.30 do 15.00, wtorek, czwartek od 12.00 do 15.00) po uprzednim uzgodnieniu godziny, lub mailowo (mkossakowska@poznan.uw.gov.pl).

Mapa przedstawiająca granice terenu objętego wnioskiem zostanie zamieszczona wraz z obwieszczeniem **13 marca 2026 r.** na stronie internetowej: www.poznan.uw.gov.pl w zakładce Ogłoszenia.

AUTOPROMOCJA

DGP

Czytaj bez limitu przez 14 dni

Zyskaj dostęp
do artykułów, analiz
i komentarzy ekspertów.

Zarejestruj się i czytaj bez ograniczeń **dzięki partnerowi**
Wejdź na **dgp.pl**

pwc

*Mniej Więcej*

*Łukasz*
Wilkowicz

## Rezerwy: zyski przysłaniane stratami

Trwa dyskusja na temat SAFE zero – zaproponowanej przez prezesa NBP możliwości sfinansowania wydatków na armię zyskami ze wzrostu wartości złota wchodzącego w skład naszych rezerw walutowych. Niezrealizowane zyski mają sięgać 200 mld zł. Problem w tym, że tych pieniędzy... nie widać w bilansie banku. A może raczej: trochę je widać, ale częściowo są przysłonięte niezrealizowanymi stratami, które pojawiają się w związku z aprecjacją złotego (mocniejszy złoty to niższa wycena instrumentów w walutach obcych, a to w nich są utrzymywane rezerwy). Kapitał i rezerwy w bilansie banku (to comiesięczny bilans w ujęciu monetarnym) w styczniu wynosiły „raptem" 100 mld zł. Co również dość istotne – ta pozycja lubi się wahać i w krótkim czasie zamiast plusa może pojawić się nawet minus. ©℗

Rentowność obligacji
(proc.)

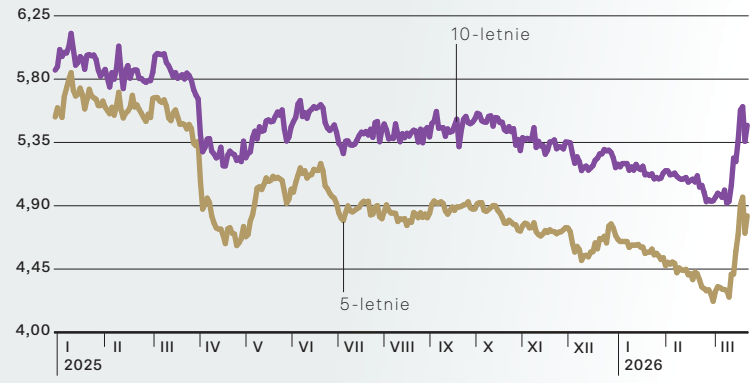


Źródło: Investing.com RM ©℗

## Iran przekłada się na notowania długu (i kredyty)

Wojna w Iranie oznacza również ryzyko wyższej inflacji i wyższych stóp procentowych. Wszystko to przekłada się na notowania obligacji. Ich rentowność praktycznie wszędzie na świecie poszła wyraźnie w górę. Wyższa rentowność to kłopot dla tych, którzy chcieliby wyemitować nowe papiery. Mocne wzrosty rentowności odnotowano w Wielkiej Brytanii, Niemczech i Polsce. U nas dochodowość 10-letnich obligacji w ciągu kilku dni podskoczyła z mniej niż 5 proc. do 5,5 proc. To nie tylko wyższe koszty dla budżetu. Równolegle z rentownością papierów rządowych zmieniają się notowania kontraktów swap, od których zależy cena hipotek stałoprocentowych. ©℗

Kapitał i rezerwy NBP
(mld zł)

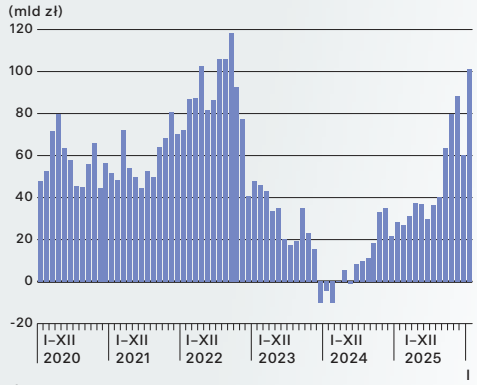


Źródło: Narodowy Bank Polski RM ©℗

## Wojna sprzyja też dolarowi (oraz inflacji)

Konflikt na Bliskim Wschodzie nie pozostaje bez wpływu na kursy walut. Zyskuje przede wszystkim dolar amerykański, uważany przez inwestorów za najlepszą z bezpiecznych przystani (mocno w górę poszedł też dolar australijski – tam są oczekiwane podwyżki stóp procentowych). Amerykańska waluta jeszcze pod koniec stycznia notowała kilkuletnie minima. Od tego czasu w stosunku do koszyka walut, na podstawie którego wylicza się kurs efektywny, zyskała ok. 2 proc. Mocny dolar tylko pogłębia inflacyjne ryzyko na świecie – w walutach lokalnych wzrost cen ropy naftowej czy innych surowców, których notowania są wyrażone w dolarach, jest jeszcze mocniejszy. ©℗

Notowania dolara wobec wybranych walut od początku 2026 r.
(proc.)

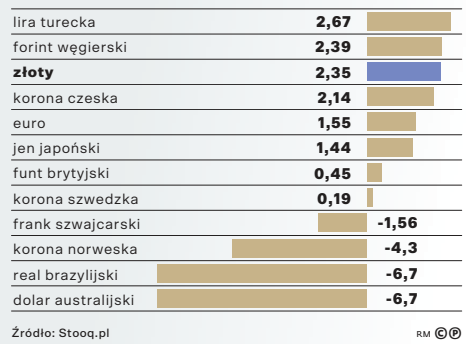


Źródło: Stooq.pl RM ©℗

eprasa.pl 420f22528a

OPINIA

# Idee

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

## Duże pieniądze lubią ciszę

*Artur* **Klimek**

Wejście spółki na giełdę w blaskach fleszy było do tej pory ukoronowaniem wysiłków jej właścicieli i monetyzacją posiadanych aktywów. Najczęściej debiut następował w momencie szybkiego wzrostu. Gdy w 1986 r. na parkiecie pojawił się Microsoft, za jedną akcję płacono 21 dol. – obecnie kosztuje ona blisko 400 dol. Po drodze były jeszcze podziały akcji i wypłaty dywidend, co oznacza, że jeden dolar zainwestowany w spółkę na początku dziś dałby kilka tysięcy. Zyskali nie tylko pierwotni właściciele, którzy zachowali pokaźny udział w firmie, lecz także duzi inwestorzy instytucjonalni i drobni ciułacze.

Przypadek Microsoftu nie jest regułą. Wiele spółek giełdowych straciło na wartości, a nawet zniknęło z rynku. Z wejściem na parkiet wiążą się bowiem duże koszty, wiele obowiązków informacyjnych i presja na zarząd, by co kwartał dostarczać coraz lepsze wyniki. Wystarczy spojrzeć na Nvidię. W tygodniu, w którym firma ogłosiła wyniki znacząco przewyższające wygórowane oczekiwania inwestorów, jej akcje spadły o kilka procent. Wskazuje to na trudności w utrzymaniu stabilnej wyceny. Tym bardziej że w samej spółce nic się nie zmieniło.

W notowaniach giełdowych nie liczą się kwartały, lecz sekundy. Powoduje to, że wiele spółek opuszcza publiczny parkiet albo nigdy na niego nie wchodzi. Stąd coraz częściej mówi się o prywatnym rynku, który zyskał na znaczeniu ze względu na zwiększone możliwości finansowania pozabankowego i pozagiełdowego. W wielu krajach regulacje idą w kierunku ułatwienia tego typu działalności. W sierpniu 2025 r. prezydent Donald Trump podpisał nawet rozporządzenie wykonawcze pozwalające inwestować środki z planu emerytalnego, czyli tzw. 401(k), w fundusze private equity, nieruchomości czy kryptoaktywa. Chodzi o 12 bln dol. inwestycji, które mogą popłynąć poza rynek regulowany. W dyskusji zwracano uwagę na potencjalnie wyższe stopy zwrotu, ale też ryzyka związane z mniejszą przejrzystością i płynnością oraz wyższe opłaty za zarządzanie. W charakteryzujących się konserwatywnym podejściem do inwestowania Niemczech duże straty funduszu emerytalnego wywołały z kolei dyskusję o potrzebie wzmocnienia nadzoru.

Rynek publiczny jest mocno regulowany. I tak być powinno – chodzi o to, by nie dopuszczać do obrotu spółek, które są zbyt ryzykowne dla inwestorów indywidualnych. Oznacza to jednak, że duzi i wytrawni inwestorzy muszą działać w tych samych sztywnych ramach. W ten sposób obniża się ryzyko dla całego systemu finansowego. Zwłaszcza że duży majątek na giełdzie został ulokowany przez fundusze emerytalne, a od ich wyceny zależy wysokość przyszłych świadczeń.

Obecnie na giełdę w Europie i USA wchodzi mniej spółek niż jeszcze kilka lat temu. Często zdarzają się też operacje wycofywania firm z parkietu. Wygląda na to, że dla wielu emitentów stracił on swój urok. Według danych World Federation of Exchanges na koniec 2025 r. liczba spółek będących w obrocie w regionie Europy, Bliskiego Wschodu i Afryki była o 2,4 proc. mniejsza niż rok wcześniej (spadek z 10 419 do 8744). Największy, 39-procentowy spadek zanotowała niemiecka Deutsche Boerse. Warszawska giełda straciła blisko 2 proc. spółek.

Lepiej wygląda sytuacja w regionie Azji i Pacyfiku – zanotowano tam wzrost liczby spółek o 1,4 proc. Najwyższy stopień podium przypadł Ameryce Północnej i Południowej – 2,3 proc. na plus. Wartość spółek opuszczających giełdy na świecie sięgnęła kilkuset miliardów dolarów. Nie wszędzie trend ten wygląda podobnie. Giełda w Londynie stara się przyciągnąć nowe spółki albo przynajmniej nie dopuścić do odejścia tych najatrakcyjniejszych. Hongkong – jako brama do Chin – w ostatnim czasie przyciąga wiele podmiotów zainteresowanych wejściem na parkiet, szczególnie z branży związanej ze sztuczną inteligencją.

Liczba spółek, które wchodzą na giełdę, wciąż przewyższa liczbę tych, które ją opuszczają, ale proporcje nie prezentują się optymistycznie. W 2023 r. debiut zaliczyły 1263 spółki, a 1100 się wycofało – w większości były to dobrowolne decyzje, ale część podmiotów została wyrzucona ze względu na niespełnianie wymogów.

Rozważania o alternatywie dla notowań giełdowych idą w stronę instytucji finansowych określanych jako fundusze private equity (PE), które lokują pieniądze inwestorów w spółki niebędące w obrocie giełdowym. W uproszczeniu można powiedzieć, że fundusz PE kupuje spółkę z zamiarem jej sprzedaży po wyższej cenie, z reguły w horyzoncie kilku lat. Wyjście z inwestycji, czyli spieniężenie środków, najczęściej następuje na dwa sposoby: wprowadzenie firmy na giełdę albo zbycie jej innemu podmiotowi. Właśnie fundusze PE dominowały też w wykupie spółek giełdowych i ich wycofywaniu z obrotu (ma to miejsce, gdy wycena firm jest niska, co może czynić ją atrakcyjnym celem dla prywatnych inwestycji).

Problemem funduszy PE może być ograniczona płynność, która powoduje zawieszanie możliwości wypłaty środków. W trudnej sytuacji rynkowej wyjście z inwestycji wiązałoby się ze stratami. Dlatego fundusze private equity czekają z zamrożonymi aktywami na dobry moment. Bloomberg szacuje, że wartość nieupłynnionych aktywów wynosi prawie 4 bln dol.

Sztuczna inteligencja zmienia wszystko – nawet moment wprowadzania spółek na giełdę. Wiodące firmy rozwijają się na rynku prywatnym i nie spieszą się z pozyskiwaniem kapitału od szerszego grona inwestorów. W tym roku oczekiwany jest debiut dwóch ważnych start-upów rozwijających modele AI: OpenAI i Anthropic. Będą to wielkie wydarzenia finansowe. Nastąpi w końcu moment weryfikacji ich modeli biznesowych przez szersze grono inwestorów. Wypowiedzi członków zarządów OpenAI i Anthropic będą analizowane jeszcze dokładniej. Oczekiwanie na wejście na giełdę oznacza sięganie po kolejne miliardy od największych inwestorów. Ostatnio OpenAI pozyskał 110 mld dol. przy wycenie przedsiębiorstwa na poziomie 840 mld dol. Wśród kapitałodawców znaleźli się SoftBank, Nvidia i Amazon. Kilka tygodni wcześniej Anthropic pozyskał 30 mld dol. przy wycenie spółki wynoszącej 380 mld dol.

W 2025 r. Jamie Dimon, szef największego amerykańskiego banku JPMorgan Chase, ostrzegał przed problemami na rynku prywatnego kredytu, używając obrazowego porównania: pojedynczych karaluchów, które mogą zwiastować większe problemy. Nawet jeśli kredyty udzielane są przez prywatne instytucje, to często wykorzystuje się w nich kapitał pożyczony wcześniej od dużych banków. Pod koniec lutego niewypłacalność ogłosił Market Financial Solutions, który według Bloomberga otrzymał ponad 2,7 mld dol. pożyczek od instytucji finansowych, m.in. brytyjskiego Barclays czy amerykańskiego Wells Fargo. W ubiegłym roku upadłość spółek First Brand i Tricolor pociągnęła za sobą wielomilionowe straty dla banków. Czy to pierwsze oznaki zapaści, czy wypadki przy pracy bez większych konsekwencji? Nawet duże firmy czasem popadają w problemy i upadają. Szczególnie w trudnych warunkach makroekonomicznych. Najbardziej niepokojące są sygnały o sztuczkach księgowych, które mają na celu zatuszowanie rzeczywistego zadłużenia.

Prywatność, a wręcz anonimowość, to cechy kryptoaktywów. Do dziś nie wiadomo, kim był Satoshi Nakamoto, czyli osoba albo grupa osób, która stworzyła bitcoina i przez kilka lat go rozwijała. Nie przeszkadza to kupującym. Dla wielu możliwość ukrycia tożsamości wręcz zwiększa atrakcyjność kryptowaluty.

Nawet globalny rynek walutowy jest w dużej mierze rynkiem prywatnym, na którym dominują największe banki świata. Oferują one własne ekosystemy wymiany walut, do których podłączeni są klienci. Na nieprzejrzystość relacji na tym rynku często zwracał uwagę Bank Rozrachunków Międzynarodowych.

Bez regularnej sprawozdawczości i odpowiedniego nadzoru publicznego na rynkach finansowych ryzyko może narastać – nawet jeśli pojedyncze instytucje je ograniczają. Dobrym przykładem był kryzys z 2008 r., gdy banki pozbywały się ryzyka kredytowego poprzez jego konwersję na zabezpieczone hipotekami papiery wartościowe, a następnie ich sprzedaż. Jednocześnie kupowały one takie same instrumenty wystawione przez inne instytucje finansowe.

Pieniądze lubią ciszę podobnie jak kryzysy. Mniejsza przejrzystość rynków finansowych powoduje, że coraz więcej informacji jest dostępnych tylko dla wybranych graczy. Dodając do tego trudniejsze otoczenie makroekonomiczne, można uzyskać mieszankę wybuchową. ©℗

Autor jest profesorem Uniwersytetu Ekonomicznego we Wrocławiu

eprasa.pl 420f22528a

FOT. WOJTEK GÓRSKI

# Wyprawa do wnętrza głowy bankiera z EBC

*Rafał* Woś

Gdy ponad 30 lat temu Francuzi i Niemcy ustalali kształt europejskiej integracji walutowej, umówili się na kilka rzeczy. Niepisaną zasadą było np., że prezesem Europejskiego Banku Centralnego nie będzie Niemiec. A to dlatego, żeby ichniejszy sposób myślenia o polityce pieniężnej (strach przed inflacją, niechęć do luźnej polityki monetarnej i do dzielenia się przez niemiecką gospodarkę zyskami z eksportu z importerami netto w ramach strefy euro) był równoważony przez odmienne punkty widzenia. Z drugiej strony Niemcy zadbali o to, by całość integracji w UE odbywała się na podstawie ich przepisów. Tak powstały do cna niemieckie kryteria spójności, czyli sławne/niesławne limity długu publicznego i deficytu budżetowego.

W efekcie mamy od trzech dekad w Europie twór o nazwie EBC, który niby nie jest niemiecki, a który w sytuacjach kryzysowych zachowywał się jednak zawsze bardzo niemiecko. Najbardziej martwił się o stabilność cen, zmuszał kraje Południa do drastycznych polityk deflacyjnych i fiskalnych oszczędności i nawet gdy w końcu zaczął sięgać po nieortodoksyjną politykę monetarną, to zrobił to dopiero w czasie pandemii – czyli ponad dekadę po tym, jak na drogę luzowania ilościowego wszedł amerykański Fed.

A jak jest dzisiaj? Co faktycznie siedzi w głowach kierujących EBC bankierów z krajów tworzących strefę euro? Czy jest to instytucja uparcie liberalno-konserwatywna? Czy może już nie, bo otworzyła się na nowinki? Odpowiedź na to pytanie próbują znaleźć w ciekawej pracy Friedrich Heinemann i Jan Kemper z Centrum Badań nad Gospodarką w Mannheim.

Przyjęta przez ekonomistów metoda polega na lingwistycznej analizie przemówień, które wygłosili w 2024 r. szefowie narodowych banków z państw tworzących strefę euro. A więc ci ludzie, w których gronie zapadają potem decyzje firmowane przez EBC i obowiązujące cały obszar wspólnego pieniądza. Analizy takie robi się dziś dość łatwo dzięki narzędziom AI, które w przeczesywaniu tekstów są bardzo dobre.

Z analizy wynika, że tematy poruszane przez europejskich bankierów centralnych układają się dziś w następującą hierarchię. Na miejscu pierwszym jest stabilność cenowa, czyli pilnowanie inflacji. Na drugim stabilność finansowa, to znaczy dbanie o to, by w systemie bankowym panował spokój. Na miejscu trzecim pojawiają się zmiany klimatu. To znamienne, bo EBC nie ma mandatu do działania w kwestiach klimatycznych. Nie zmieni to jednak faktu, że zielony temat był w ostatnich latach modny także w kręgach polityki monetarnej. Pojawiło się nawet wiele postulatów, by banki centralne włączyły się w walkę z globalnym ociepleniem. Jak widać, dyrygenci unijnej polityki pieniężnej na ten trend uważnie nadstawili uszu.

Na dalszych miejscach pod względem zainteresowania znajdują się dług publiczny (czwarte), rynek obligacji (piąte) i dystrybucja dochodu narodowego, czyli walka o sprawiedliwość społeczną (pozycja numer sześć).

I jeszcze słowo o preferencjach konkretnych krajów. Inflacja to konik kapitanów polityki monetarnej w (oczywiście) Niemczech, Austrii i Belgii. Klimat to domena Włoch, Francji i Litwy. Dług publiczny dominuje w Grecji, Austrii i Niemczech. Nierówności społeczne są tematem dla bankierów centralnych we Włoszech, Portugalii i na Litwie.

Trzeba pamiętać, że to jedynie wnioski z przemówień. Czyli słowa, słowa, słowa. A gadanie bywa tanie. I niekoniecznie musi się przekładać na konkretne posunięcia w obliczu wyzwań czy kryzysów. Coś nam to jednak chyba mówi o dzisiejszym metalu na szczytach frankfurckiej instytucji. ©℗

Autor jest zastępcą redaktora naczelnego „Tygodnika Solidarność"

# Europejczycy lubią zadłużenie?

**Czy należy zwiększać dług publiczny, by zadowolić głosujących?**

*Michał* Gulczyński

Europejski Instytut Uniwersytecki we Florencji

*Joanna* Tyrowicz

Autorka jest ekonomistką GRAPE

Ach, te wybory i padające podczas nich hojne obietnice... Czy należy zwiększać dług publiczny, by zadowolić głosujących? Politycy powiedzą, że to konieczne; ekonomiści, że nieodpowiedzialne. Ale może nie wszyscy naukowcy?

Thomas Hills (Uniwersytet Warwick), Eugenio Proto (Uniwersytet Glasgow) i Daniel Sgroi (Uniwersytet Warwick) przyjrzeli się temu, co dawało szczęście Europejczykom od końca XVIII w. do dziś – i wyszło im, że bardziej zadłużone społeczeństwa były/są bardziej zadowolone. Nie, nie jest to opowieść o współczesnej Grecji, ale o Niemczech, Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, Francji i Włoszech.

Skąd naukowcy wzięli dane o nastrojach Europejczyków sprzed trzech wieków? W Google Books jest masa literatury pięknej, a znając treść tych wszystkich Proustów, Byronów i Goethów, badacze policzyli dla każdego roku dostępnych tekstów wartość emocjonalną (valence) użytych w nich słów. Czy to dobre dane? Jeśli zestawi się je z Eurobarometrem (publikującym badania od 1973 r.), okazuje się, że wartość emocjonalna tekstów i deklarowane szczęście Europejczyków są silnie skorelowane, co sugeruje, że wartość emocjonalna to dość wiarygodna miara.

Wartość emocjonalna tekstów literackich przybliżająca zadowolenie ludzi z życia została potem skorelowana z PKB per capita, oczekiwaną długością życia, konfliktami i wojnami domowymi oraz poziomem długu publicznego. Dzięki temu można było sprawdzić, jakie czynniki wpływały na satysfakcję naszych przodków. I tak cieszymy się, jeśli żyjemy dłużej, nawet gdy nie żyjemy dostatniej: wzrost oczekiwanej długości życia o 1 proc. ma taki wpływ na zadowolenie z życia jak urośnięcie rocznego PKB o 5 proc. Wynika to prawdopodobnie ze związku oczekiwanej długości życia z jego coraz lepszymi warunkami – higieną, lepszym odżywianiem czy postępem medycyny. Z kolei wpływ każdego roku wojny domowej był porównywalny do zmniejszenia PKB o połowę. Rezultat okazał się trzykrotnie większy niż skutki międzynarodowego konfliktu. I clue: na zadowolenie z życia korzystnie oddziaływał też poziom długu publicznego. Autorzy podkreślają jednak, że wyniki te odnoszą się wyłącznie do dwóch wieków (lata 1820–2009), więc nie można na tej podstawie wyciągać wniosków na temat długookresowych skutków ekspansywnej polityki fiskalnej.

Badanie nie wykazało też wpływu inflacji i nierówności (np. w dostępie do edukacji) na zadowolenie społeczeństwa, co dziwi. Dodatkową ostrożność w entuzjastycznym interpretowaniu tych wyników sugeruje jeszcze jedno: wnioskujemy bowiem nie po prostu na podstawie literatury, ale na podstawie trendów literackich. Przykładowo, demokracja, zgodnie z tymi wynikami, szkodzi szczęściu, ale to raczej przejaw tego, że w reżimach niedemokratycznych występuje cenzura, co ogranicza krytykę, a co za tym idzie – stosowanie w książkach negatywnie nacechowanego słownictwa.

Zmienność trendów literackich jest więc nie bez znaczenia. Literatura oświecenia i romantyzmu z końca XVIII w. i początku XIX w. różni się znacznie od późniejszych nurtów – realizmu i naturalizmu – opisujących, a czasem wręcz wyolbrzymiających przygnębiającą rzeczywistość biedoty, robotników czy rolników. Ponadto wraz z upowszechnieniem edukacji zmieniało się też pochodzenie społeczne autorów, co rzutowało na wartość emocjonalną literatury pięknej. Część tych problemów może rozwiązać ekonometria, ale pewnie nie wszystko. ©℗

eprasa.pl 420f22528a